



*Jerzy Fryckowski  
biegnie na przelaj  
przez życie ze swoją  
poezją, choć ciągle  
gorzko ogląda się  
za siebie i wraca.  
Mimo to chyba wy-  
walczy mistrzostwo*

## *król łgarzy w białych rękawiczkach wierszy*

Mija właśnie dwadzieścia lat od ukazania się książki Jerzego Fryckowskiego pt. „Nogami do przodu (Fraszki, bajki i satyry)”. Na okładce można przeczytać biografię, lapidarną i z przymrużeniem oka pisaną przez autora.

Urodził się w epoce wczesnego Gomułki, a debiutował w okresie późnego Gierka. Nie karany, bez odznaczeń. Nie ma samochodu, ale ma pociąg... do kobiet i dobrego alkoholu. Nauczyciel, ale wcześniej pracował jako listonosz, telefoni- sta, konwojent, lakiernik, ekspedient. Pracował także w show biznesie... puszczając karuzelę w Jastrzębiej Górze. Jak dotąd nie poznał jeszcze siły własnych pieniędzy, gdyż nie otrzymał od Prezydenta obiecanych milionów. Ma już na koncie demokratyczne zwycięstwo i demokratyczną porażkę w wyborach do Samorządu Terytorialnego. Jego najwybitniejsze dzieła to: córka Marta i syn Gabriel. Fan zespołów „Deep Purple” i „The Doors”. W 1991 roku w Bogatyni został wybrany Królem Łgarzy, rok później - wicekrólem.”

No cóż, ponoć królem jest się wybranym raz w życiu, a poetą się bywa. Ale Fryckowski nie bywa poetą, tylko nim jest. Słowo stało się dla niego, jak glina w rękach garncarza, a napisanie wiersza - fraszką. A propos fraszki, to właśnie ww. książka, „Nogami do przodu”, jest jednym z dowodów wszechstronności poety i poczucia humoru. Wbrew temu, co znajdujemy w jego wierszach. Oto garść przykładów:

### *Fenicjanie*

*Wynaleźli pieniądze i dobrze się stało,  
ale ja się dziś pytam - dlaczego tak mało.*

### *Jedno pytanie*

*Jedno pytanie od dawna mnie droczy,  
jak można nagiej spojrzeć prosto w oczy.*

### *Epitafia:*

#### *Szewcowi*

*To dla cechu jest poruta  
chodził bez a umarł w butach.*

#### *Wędkarzowi*

*Tutaj spoczywa rybak nad rybaki,  
już się nie musi martwić o robaki.*

### *Elektrykowi*

*Jak prawdziwe są to słowa,  
że bez prądu wykorkował.*

### *Dietetykowi*

*Za życia dietę miał okrutną,  
teraz przeszedł na absolutną.*

### *Sylwetki:*

#### *Mickiewicz*

*Nie mógł z Marią mieć układów  
no bo jakże... autor Dziadów.*



## Bajki:

Raz mały kotek poszedł na łąkę  
miał się tam spotkać z kolegą bąkiem  
lecz zamiast bąka napotkał krowę  
więc się przestraszył wstrząsło nim mrowie  
Ona mu rzekła: Po co te dąsy  
jesteś tak mały a już masz wąsy  
On główkę schylił spojrzeń unikał  
Ty taka duża a bez stanika

dokładnej porannej toalety  
śmierć w szpitalu  
nauczyła mnie  
chodzić na palcach

Poznałam Jurka ponad dwadzieścia lat temu, na podsumowaniu konkursu poetyckiego. Kiedyś w Szczecinku miałam przyjemność poznać również jego córkę - Martę. Miała dwa-ście lat, była laureatką.

Z historii miasta Bogatyni i okolic (fragmenty):

1700 r. p.n.e. - pojawiły się pierwsze narzędzia pracy.  
Ale roboty, jak nie było, tak nie ma.  
1228 r. - pierwszy przykład importu negatywnego -  
sprowadzenie Krzyżaków.  
1386 r. - ślub Jagiełły z 14-letnią Jadwigą. Co na to  
prokurator?  
1659 r. - próby reform ustrojowych. Trzeba przyznać,  
że trochę to trwa.  
1974 r. - premiera filmu „Love story”. Ludzie nie mieli  
pretensji, że zapłacili za miejsca siedzące, a musieli  
stać. Krzyczeli tylko, aby wykręcić ich twarzą do ekranu.

Wiadomości Dziennika Telewizyjnego i Sportowe... Oba-  
wiam się, czy przypadkiem z Króla Łgarzy nie wzięły przykła-  
du (czytaj: nie powieliły jego pomysłów) nasze kabarety.

Każda książka poetycka Jerzego Fryckowskiego opatrzo-  
na jest dedykacją, bądź mottem. Z pewnością ani dla au-  
tora, ani czytelnika, nie jest to bezzasadne. Oczywiście, że  
dedykowanie książki konkretnej osobie ma swoją wartość  
poza wartością bagażu wierszy (którą indywidualnie ocenia,  
określa czytelnik). Tym większą, jeśli wiersze dotyczą jakiejś  
„sfery” pomiędzy tą osobą i autorem. Choć bywają dedykacje  
- ukłony.

Tomik „Aleja dusz” dedykowany jest córce i synowi. W tre-  
ści jednego z wierszy dopatruję się zaczynu wrażliwości poety:

## Nauka

W katalogu trwania  
jestem naznaczony piętnem szpitala  
od piątego roku życia  
przestał mnie mdlić  
zapach szpitalnych sal  
krajalności ludzkiego ciała  
uczyłem się na pooperacyjnych bliznach  
czułem większy respekt  
przed ostrzem skalpela  
niż przed ciężarem  
ojcowskiej ręki  
pierwszym środkiem lokomocji  
była dla mnie karetka pogotowia ratunkowego  
gdzie sanitariusz wskazówką szybkościomierza  
uczył mnie  
odmierzać ludzkie życie  
litery  
poznawałem z karty choroby  
liczyć  
uczyłem się na termometrze  
wizyty dwa razy w tygodniu  
uczyły mnie

## List do córki

Naprawdę nie umiem ci odpowiedzieć  
czy to Bóg ukarał dinozaury  
i meteorem przystonił im światło  
moja wiara datuje się od dnia twoich narodzin  
a więc oboje wiemy tyle samo  
mijając ludzi wiele razy upadałem na twarz  
ale rzadko leżałem krzyżem  
w trosce o własne dłonie  
nie wiem córeczko  
być może psy idą do nieba  
tak często modlą się wyciem o naszą rozwałkę  
samą wiernością zasługują na to  
by i tam strzec naszego snu  
nie wiem najdroższa  
dlaczego Bóg wymyślił raka  
przecież zdarzają się cuda  
i włosy znów odrastają czasem powraca wzrok  
choć przeczytałem tak wiele książek  
nie umiem ci odpowiedzieć  
czy byłoby mniej wojen  
gdyby pastuszkowie znaleźli w stajence  
dziewczynkę

Jurek był zauważany (nadal jest) w wielu konkursach,  
jak Polska długa i szeroka. Do tego stopnia, że jeden z lite-  
ratów zamieścił w prasie uszczypliwy, prześmiewczy artykuł,  
dotyczący „kursowiczów” - z Fryckowskim na czele. No-  
tabene ów literat, niepomny własnych słów, od dłuższego  
czasu zawzięcie bierze udział w konkursach (poezja, proza)  
i zdobywa laury różnej miary. Jerzego, jak każdego człowieka,  
można lubić lub nie, zarzucić mu to, czy tamto. Ale nie moż-  
na przejść obojętnie obok jego twórczości. Jego wiersz może  
poruszyć, zachwycić, zbulwersować mocnym, nawet wulgarnym  
słowem, jak uderzenie pięścią, ale słusznie użytym, bo  
żadne inne nie miałyby takiej mocy i pojemności. Fryckowski  
załatwia rzecz po męsku, ale w białych rękawiczkach wier-  
sza. Pojedynkuje się - z samym sobą, z rzeczywistością, jaka  
go otacza i przeszłością. Nie jest w stanie pogodzić się z  
odejściem najbliższych mu osób, także ukochanego, wiernego  
psa.

## Skotawa

Przyjedź do mnie chociaż raz  
a pokażę ci strome brzegi Skotawy  
to miejsce  
gdzie załamał się lód pod moim psem  
między drzewami na niebieskich pajęczynach  
drga jeszcze mój krzyk  
a Budrys odwraca łeb  
i podaje łapę z przerebli

Tak to prawda  
nie szeptalem tu czule  
zadnych kobiecych imion  
chociaz okolica nastroja do rozbiieranych randek  
wykrzykiwalem tylko imię psa  
gdy wyplywał na powierzchnię  
a potem tulilem do siebie  
trzęsące się mokre futro  
wybaczałem mu wszystkie niepostuszeństwa  
i tych siedem uduszonych kaczątek  
których puszyste duszyczki poszły do nieba  
jak mawiała moja córka  
Przyjedź do mnie chociaż raz  
a pokażę ci pętlę rzeki  
którą zarzucam na łkające gardło  
i daremnie próbuję jak Wojacek  
odrzuć stopami upodloną planetę  
Za każdym razem wracam na ziemię  
bo wystraszony pies przysiadł na tylnych łapach  
i liże moje dłonie

(„Jestem z Dębnicy”, Słupsk 2009.)

Jest poetą egzystencji, dobrym obserwatorem. Żyje z piętnem lat PRL-u. Sporo wierszy powstało na gruzach wspomnień młodości. Ale też wiele wówczas zdarzeń miało dla niego barwę i sens, a miejsca były najpiękniejsze i najbliższe sercu. Niesie ze sobą, w sobie, ciężar ich istnienia i odchodzenia. Jego świat wypełniają ludzie i zdarzenia. Dzieci są chlubą, jest z nich dumny. Wspomina też swoich uczniów, uczennice, które dorastały pod jego belferskim okiem. Pisze o żonie, pełen miłości, szacunku i wdzięczności. Erotyki są mocną stroną jego poezji. Fryckowski kreuje, tworzy siebie, w tworzeniu sensu istnienia rzeczy, ludzi i zdarzeń. Czuje potrzebę dawania, poświęcenia, opieki. A jeżeli istnieje Bóg, to istnieje też Jerzy dzięki niemu. Wszystkimi zmysłami odbiera świat. Czasem spotyka gorzkie rozczarowanie, zawód. W swoich wewnętrznych

słownych pojedynkach raz wygrywa, raz przegrywa. Zazwyczaj decyduje świetna, celna pointa, kreślona ostrzem bądź rozbrajająca wzruszeniem. Odnajdujemy w tych wierszach również własne dylematy, problemy, trudne prawdy, z którymi nie można się pogodzić i - bezradność.

\*\*\*

Przybiegniesz naga  
bez względu na pogodę  
spędzimy ze sobą cudowną noc  
w gabinecie luster  
opowiem ci wszystkie moje żale  
i spłaczemy się jak bobry  
ty opowiesz mi  
przez ile dłoni już przeszłaś  
jako puchar przechodni  
ilu samotnych żeglarzy utuliłaś do snu  
ile rozbiłaś małżeństw  
Ile niepożądanych cięż usunęłaś  
nastawimy zdarta płytę  
być może Edith Piaf  
zdola zakrzyczeć naszą rozpacz  
i nie płacz już  
bo żadna kropla ciebie  
Nie powinna się zmarnować  
wódka

(„Aleja dusz”, Kraków 1992.)

Jerzy Fryckowski urodził się 16 lutego 1957 roku w Gorzowie Wielkopolskim. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku. Nauczyciel w Dębnicy Kaszubskiej. Dzięki niemu powstało lokalne pismo „Nad Skotawą”. Debiutował w Polskim Radio w 1978. Trzy lata później z Grupą Poetycką „Dialog Nienazwany” wydał tomik pod tym samym tytułem. Jest autorem 14 tomów wierszy, redaktorem i współautorem kilku antologii. Współpracuje z „Zeszytami poetyckimi”. Prozaik, dziennikarz, krytyk, animator kultury i - poeta. Jego wiersze znalazły się w ponad 280 almanachach i antologiach, tłumaczone były na kilka języków obcych: angielski, francuski, niemiecki, serbski, hindi, szwedzki, litewski, czeski, węgierski, słoweński.

### Tren 24

Matko znów świeże niosę Ci kwiaty  
czerwone róże i tulipany  
kładę gdzie dłoni spłot zasypany  
by wdzięczność syna spłacać na raty  
Chylę na ziemię wzrok zadumany  
rzęsy dla mych łez stały się kratą  
rozrzucam wilgoć łzawą bogatą  
przez samotności cedzę łachmany  
Bo przecież jesteś tak bardzo blisko  
pod mym kolanem - myśl niepojęta  
pod moją ręką schowana nisko  
Już piecze w gardle wzruszenia mięta  
chciałbym domowe palić ognisko  
pukam do krzyża... trumna zamknięta

(„Aleja dusz”, Kraków 1992.)

W białych rękawiczkach wierszy poeta składa kwiaty na grobach matki i ojca. Wcześniej w to miejsce niósł na ramionach, z ciężarem w sercu, ich dusze. Pisze „Treny”. Pełne wspomnień, które boją, żalu i poczucia pustki. Nie może nie zablźnionych ran dotykać nagimi palcami, by je opatrzyć





słowem. Nie może niczego splamić, wypaczyć, uronić niczego ważnego, co warte jest ocalenia, w pamięci i zapisie na białych kartkach książki. W barwie śniegu zanurza wiersze „Antologii poezji wigilijnej”. Piękno, wzruszenie i chłód - uktucie ciemności, która bardzo boli. Bo jedno życie zaczyna się, a inne kończy. O wiele za wcześnie. Ale okazuje się, że są jeszcze „Słowa bielsze od śniegu”. Nie będzie ujmą dla czytelnika, jeśli nawet uroni tzę nad którąś z książek.

#### List od matki

*Syneczku, zobacz, jak śpi twoja cicha żona,  
co noc wsłuchana w oddech sytych mlekiem dzieci.  
Klęknij pokornie przy niej, a jej snu korona  
twoje zmarszczone czoło nadzieją oświeci.  
Ty krzyczysz w głuche niebo, ona ciągle cicha  
struga wasze przyszłe dni ostrzem swej pokory.  
Gdy się obudzi w nocy, sprawdzi, czy oddychasz,  
czy nie zmęczył ciebie wiersz, czy nie jesteś chory.  
Pozbiera w ryzę kartki i wyłączy płytę.  
Skrzyje twe zgięte ciało pod pluszowym kocem,  
lecz nie znajdzie kilku słów, które w dłoni skryte  
spisały z detalami wasze pierwsze noce.  
(„Jestem z Dębnicy”, Słupsk 2009.)*

Jest taki moment w życiu niemal każdego poety, artysty, kiedy powinien zdecydować, co wybiera: życie rodzinne w pełnym wymiarze tego słowa, czy twórczość, karierę, samorealizację - ale też bycie dla innych. Nie da się jednego z drugim pogodzić. To bardzo trudne. Ani jedna, ani druga strona życia nie będzie nigdy pełnią. Nie można być szczęśliwym, kiedy zawsze albo rodzina, albo poezja jest „poszkodowana”.

#### Credo M

*Nasza miłość  
to okresy błędów i wybaczeń  
pełna zakrętów i prostych  
krótkich jak płacz dziecka  
Nasze noce  
zamiast pornograficznych skojarzeń  
pełne są wymyślonych historii  
i białych plam  
Nasze ciała  
są najbliższej siebie  
kiedy mijają się  
w drzwiach*

Kilkadziesiąt wierszy w tomiku poetyckim „Jestem z Dębicy” - na godziwym poziomie, przemawia do nas językiem najprostszym, szczerym i prawdziwym. Bez kokieterii. Poeta oddaje hołd - matce, ojcu, ludziom ze swojej Dębicy i okolicznych miejscowości, „Niebieskiej” - ważnej i tragicznej w życiu Jerzego, wiernemu psu, własnym krokom w życiu, choć niektórych żałuje. A także - Bogu, którego czasem dostrzeżę w jakimś człowieku i wyciąga do niego rękę. Współczuje, służy pomocą i wsparciem, pochyla się nad nim. Wspomnieniami i sentymentem naznaczone są drogi, rzeka, dom własny i sąsiadów, drzwi, nawet w nich klamka i - słowa. Zwraca uwagę świeżość tych wierszy, siła oddziaływania, sugestywność. Nie są popisem żonglerki słowami. Interesujący jest, m.in. cykl „Kiedy będę umierał”.

#### \*\*\* (fragmenty)

*Kiedy będę umierał napiszę pięć wierszy  
Piąty będzie o łzie mojej jedynej biżuterii  
Noszę ją pod powieką od naszego pierwszego spotkania  
...przysięgnij na nasze dzieci  
ze obudzisz mnie rano  
oddam ci tzę oprawioną w zaokienny błękit*

Książka „Jestem z Dębicy” pozostanie dla mnie wyjątkowa. Ale...

Trzymam w dłoniach ostatni tomik poetycki Jerzego, „Chwile siwienia”. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem tych „chwil”. Wiersze, które tutaj znalazłam, są jakby przekątną jego twórczości i form przekazu. To tak, jakby przejechać przez miasto główną arterią. Choć nie widać „zaplecza”, bocznych ulic i zakątków, to dostrzegamy je w tle, bacznie patrząc nie tylko przed siebie. Ale to, co widzimy przed sobą, zapisuje się natychmiast w pamięci. Znamienne jest tutaj motto „Tylko człowiek miłości może z martwych powstać” - Else Lasker-Schuler. Każdy wiersz zasługuje na uwagę, niektóre są wstrząsające w swoim sugestywnym przekazie. Żałuję, że nie mogę przytoczyć żadnego z nich, z uwagi na szeroką frazę i obszerność zapisu. Tytuł - „Chwile siwienia”, to też pewna przekora Fryckowskiego (choć tytuł może nie jest jego pomysłem, książka została wydana, jako nagroda w konkursie). To - tylko chwile. Chwile wierszy w białych rękawiczkach. Bo oto zamykamy książkę i widzimy na okładce szeroko do nas uśmiechniętego Króla Łgarzy! W zielonym lesie rozsiadł się wygodnie, jak na tronie, na pniu drzewa. Właściwie jest to bardzo ciekawy konar - w jego strukturze, pod stopami Jerzego, dopatrzyłam się „uśmiechniętej” psiej mordy. Jurek trzyma smycz, tylko pies, może drugi Budrys, gdzieś pobiegł. A Jerzy Fryckowski biegnie na przelaj przez życie ze swoją poezją, choć ciągle gorzko ogląda się za siebie i wraca. Mimo to chyba wywalczy mistrzostwo.

**Anna Andrych, Warszawa**

# nie tylko dla siwiejących...

*„Chwile siwienia” autorstwa Jerzego Fryckowskiego to najnowszy, starannie wydany zbiór trzydziestu wierszy tematycznie osadzonych w przeszłości. Uwagę przyciąga sama okładka, na której widnieje reprodukcja fragmentu obrazu Urszuli Olczyńskiej „Ptaki czarne”*

Zawartość zbioru, choć skrajnie różnorodna, emanuje dojmującym doświadczeniem przemijalności. Piszę „różnorodna”, ponieważ bohater liryczny zabierając nas w podróż w głąb siebie, pokazuje zarówno rodzime jak i odległe strony, a naturalistyczne erotyki przekłada rozważaniami o śmierci.

Tom otwiera wiersz „Trzy znicze”, który w interesujący sposób wprowadza czytelnika w wewnętrzny świat podmiotu lirycznego. Bohater podpala tytułowe znicze, a zapach każdej kolejnej zapałki budzi wspomnienia z naznaczonego cierpieniem dzieciństwa. A właściwie z momentów przejścia w dorosłość, które pod znakiem straconych złudzeń przemijają na tle tragicznych wydarzeń politycznych, chorób rodziców, biedy. Zapala znicze właściwie sobie minionemu, sobie przeszłemu, de facto - sobie umarłemu.

Pęten namysłu ton dominuje również nad kolejnymi wierszami, które stanowią rozwinięcie i dopełnienie utworu inicjalnego. Po „Trzech zniczach” bowiem umieścić poeta wiersze z opublikowanego już wcześniej cyklu „Synowie polscy”. W ciekawy sposób przełożył w nich zarówno biblijne, jak i antyczne historie synów na polską rzeczywistość. Archetypowi bohaterzy zostali przykrojeni do rodzimych realiów i wyposażeni w swojskie biografie. Telemach, Ikar, Mojżesz i Izaak stanowią też w pewnym sensie projekcję samego autora, który dodał im sporo z siebie. Dzięki tym zabiegom tchnął życie w postaci symboliczne, jednocześnie nadając swemu życiu uniwersalny i ponadczasowy wymiar.

Polska prowincjonalna codzienność staje się źródłem refleksji w kilku następnych wierszach. Przykładowo w wierszu „Chojnice. Dworzec. Sierpień” podmiot liryczny za pośrednictwem synestezji w sposób plastyczny przedstawia odstawiiony na bocznicę pociąg, który mimowolnie staje się świadkiem ludzkiego bycia: „Na bocznicę wysłużone wagony bez oddechu lokomotywy / dopalają w sobie wspomnienia z podróży w nieznanie / pachnie jeszcze woda brzoza / i słychać plusk pierwszych pocałunków / wywietrznikami pewnie ucieka smak jajek na twardo / [...] a w samym kącie butelki po oranżadzie [...] / gaszą rozpalone czoła lub dolewają oliwy do ognia”.

Na tle pustoszącego dworca toczy się scena rodem z filmów Wojciecha Smarzowskiego. Mianowicie bohater wiersza zapytany przez grupę zwiedzających Polskę szwedzkich turystów o toaletę, udaje, że nie zna języka, choć w rzeczywistości odczuwa wstyd z powodu braku przyzwoitych sanitariatów w ojczyźnie. Rozeźlony upokarzającą sytuacją unosi się gniewem, stereotypowo uzasadniając swój wybór: „a niech się kurwa męczą za potop / za podniesienie ręki na Najświętszą Panienkę.” Ktoś uczynny wskazał obcokrajowcom „toi toiki”, jednak pewna „gruba blondyna” nie mieści się w kabinie, zafatwia więc potrzebę za wagonem kolejowym, co podmiot liryczny komentuje wulgarnie: „przysadzista blondyna / szcza na moją ziemię / skąd kruszynę chleba / podnoszą dla uszanowania”.

Silnie kontrastujące ze sobą zestawienie brutalnie nazwanej czynności fizjologicznej z fragmentem „Mojej piosnki” Cypriana Kamila Norwida - wiersza stanowiącego emblemat patriotyzmu - buduje groteskę, podkreślając symboliczny wymiar opisanego sytuacji.

Poza wierszami komentującymi polski sposób postrzegania świata czy polską rzeczywistość znajdują się w „Chwilach



siwienia” także utwory przywołujące egzotyczną „zagranicę”. „Kabul” wbrew tytułowi nie stanowi jednak opisu stolicy Afganistanu, jest raczej specyficznym erotykiem, w którym podmiot liryczny charakteryzując miasto, zarysowuje chwilę intymnego zbliżenia z jego mieszkanką. To zresztą niejedyny erotyk w zbiorze. Miłość rozumiana jest zarówno w wymiarze „Caritas”, jak i „voluptas”, z których tej drugiej zdecydowanie więcej uwagi poświęcił poeta. Miłość zmysłowa, odidealizowana ukazana jest w jej biologiczno-naturalistycznym aspekcie. W „Erotyku dla poprzednika” pisze tak: „Kocham się z nią już czterdzieści minut, a ona ciągle powtarza Twoje imię / chociaż w alfabecie dzieli nas tyle liter ile lat w dowodzie.”

Nie stroni od brutalizmów, vide „rznąłś go na smutno” („Katowice-Kraków. Otwieranie oczu”) czy wulgaryzmów, jednak nie po to ich używa, by zaszokować odbiorcę, raczej po to, by dobitniej i wyraźniej przekazać ważką myśl czy uczucie.

Zarówno w przywoływanych powyżej wierszach jak i pozostałych uderza świadomość przemijania. Nieustanny upływ czasu zabierających kolejnych bliskich można potraktować w istocie jako głównego bohatera zbioru. I tak w utworze „Pierwszy osiwiuje pies” podmiot liryczny prognozuje swą starość, która nadejdzie wraz ze starością czworonogiego przyjaciela. Gdy przeczują ją najbliżsi, rozpoczną przygotowania do ostatniego pożegnania: „luster jeszcze kirem nie zakryjesz / sprawdzisz pod nieobecność dzieci / czy jest ci do twarzy w czarnym i ile możesz odstłonić.”

Sędziwe lata nieodwołalnie kojarzą się podmiotowi lirycznemu z cierpieniem, niedołężnością, fizyczną ułomnością, która pozbawia godności: „będziesz mnie wyręczać w zsuwaniu piżamy / [...] zaprawiona w macierzyństwie podetrzesz / [...] morfina troskliwa jak ojciec...” Aż wreszcie nadejdzie to, co nieuchronne, napawające lękiem - więc nie nazwane wprost: „a potem ponoć światło / i rodzice kiwający na mnie palcem”.

Co pozostaje siwającemu bohaterowi? Ano poddać się czasowi, co czyni w jednym z ostatnich wierszy tomu. „Pożegnania” w metaforyczny sposób przedstawiają proces oddalania się bliskich, który jest zwiastunem starości. Zarówno żona, syn, jak i córka zaczynają żyć osobnymi życiami, a pies zostaje uśpiony. Wreszcie nadchodzi czas i na autora wyznania: „Ostatni odchodzisz Ty / spakowany od kilku lat / [...] z kieszeniami pełnymi legitymacji na niepotrzebne zniżki / z bliznami co przez tyle lat nie umiały się zablźnić.”

Gdy wydaje się, że to już koniec i nic na niego nie czeka, bohater przypomina sobie o wieczności. Spotkanie z transcendencją przedstawia za pomocą interesujących

symboli odwołujących się do szablonowych wyobrażeń: „i wtedy zdajesz sobie sprawę że jest jeszcze ON / przypominasz sobie kaplicę sykstyńską / i ten palec wyganiający także ciebie.”

Inicjalne „Trzy znicze” i „Pożegnania” tworzą klamrę, w pierwszym z nich podmiot liryczny rachuje się z przeszłością, w ostatnim - przepowiada przyszłość. Pomiędzy nimi znajduje się życie - proces, który kończy się wraz z siwieniem.

Jaką poezję oferuje nam J. Fryckowski? Przede wszystkim bezpretensjonalną i szczerą, śmiało zestawiającą tematy, wydawać by się mogło, nieprzystające do siebie, odnajdującą w kontrastach punkty wspólne, uderzającą z jednakową gracją i w tony liryczne, i w tony wulgarne. W niebanalny sposób korzysta twórca ze stereotypowych sposobów postrzegania rzeczywistości i myślowych klisz, przydając im nowe konotacje. Dotyka w „Chwilach siwienia” doświadczenia przeczuwanej, bo jeszcze nieprzeżytej (sądząc po pełnym życia uśmiechu autora tomu, który przedstawia fotografia na czwartej stronie okładki) starości, rzucając przy tym okiem na samego siebie sprzed lat. Dokonuje tym samym swoistego podsumowania. Czy wychodzi ono na korzyść jego twórcy, dowiedzieć się Państwo sami, zagłębiając się w najnowszą, wartościową propozycję poetycką Jerzego Fryckowskiego.

**Agnieszka Kołuzan, Gdańsk**

Przedruk ze strony internetowej „Latarnia Morska” z Kołobrzegu.

Jerzy Fryckowski „Chwile siwienia” Wydawnictwo TAWA, Chełm 2013, str. 40.

Agnieszka Kołuzan jest magistrem filologii polskiej o specjalności edytorskiej, doktorantką Uniwersytetu Gdańskiego z dziedziny literaturoznawstwa. Pracuje jako redaktor językowy w wydawnictwie. Do tej pory artykuły naukowe opublikowała w tomie „Integralia. Wymiary studenckiej humanistyki”, pokonferencyjnej książce „Mężczyzna w literaturze i kulturze” oraz serii „Bestiarium”.

## trzy wydarzenia



Otrzymałem pocztą książkę Jurka Fryckowskiego pt. „Chwile siwienia”. W skrzynce pocztowej znalazłem też inną przesyłkę - „Wybitni polscy trenerzy - Hubert Wagner”. Byłem wtedy już dojrzałym człowiekiem, wychowanym w komunie. Co kim jestem teraz?

Wciąż jest więcej pytań niż odpowiedzi, analfabetów więcej w tej epoce od kóz. Ale miałem pisać o książce Jerzego, o poecie z Dębnicy Kaszubskiej. On sam jest dziełem, intelektualną duszą, którą umie spożytkować... Od południa jeszcze nie otworzyłem koperty z jego książką. Siedzę na ławce w Słupsku, na Kołłątają, przy taksówkach. Godzina - siedemnasta piętnaście. Jeszcze czterdzieści pięć minut mam do odjazdu, więc otwieram świat poezji J. Fryckowskiego. Niech zabrzmiał dzwon, święty czy mniej święty. Bo mam w ręku

tomik wierszy „Chwile siwienia”. Co za radość! Jurek to porządny gość, napisał: „Zygmuntowi z nadzieją na (tomikowy) rewanż”. Rozsadza mnie ciekawość, by iść z autorem, który wcześniej wiele już przeszedł i to co zauważył, opisał. Nadał autor książce motto: „Tylko człowiek miłości może z martwych powstać” - Else Lasker-Schuler.

Rzecz niebywała, stoję przed dworcem kolejowym, w miejscu gdzie można oficjalnie zapalić papierosa. Popielniczka na nóżce uśmiecha się do mnie, więc palę i spalam myśli te i inne. A tu dzwoni telefon komórkowy. Byłem pewny, że to Ewa, a okazuje się, że dzwoni redaktorka Barbara Dyga z „Nieznanego świata”, z Warszawy. Niesamowita spotyka mnie niespodzianka. Dnia 21 sierpnia 2014 roku o godzinie siedemnastej trzydzieści. Dowiaduję się, że wiersze Ewy Kolasieńskiej, mojej przyjaciółki, poetki zostały przyjęte do druku. Pani Dyga prosi o jej zdjęcie i notę. Przez dwadzieścia minut opowiadałem jej o poetce, której nikt nie zna tak dobrze jak ja. Naprawdę z dużą niepewnością wysłałem wiersze Ewy do tej redakcji. Poetka ta dopiero od dwóch lat pisze, jej świat jest jeszcze nieznaną! I proszę, nie myliłem się, że jej wiersze są na dobrym poziomie.

Zbliża się osiemnasta, odjazd mikrobusem do Koszalina, a stamtąd do Kołobrzegu. Mrzeżyno na mnie czeka. Jutro spotkanie z publicznością w sali konferencyjnej. Czy wypełniona będzie, tego nie wiem. Na pewno nie będą żalować ci, którzy przyjdą, bo przygotowałem kilkanaście utworów z szykowanego do wydania tomiku „Poetyckie tango”. To tango poetyckie zabrzmiało moim głosem lirycznym.

**Zygmunt Jan Prusiński  
Ustka**

# prawdziwa praca to ta, po której coś zostaje



*Władysław Kowalski, spoglądający na nas z ekranu często w roli uczonych, profesorów, inteligentów, urodził się w roku 1936 w chłopskiej rodzinie, we wsi Żurawce koło Tomaszowa Lubelskiego*



Aktor. Zawód, powołanie, misja, sposób na życie? Są aktorzy - celebryci, którzy mniej może grają, a bardziej się pokazują. Są aktorzy teatralni, znani niewielu widzom, bo nieobecni w telewizji. Aktorzy - gwiazdy i tacy, dla których zawsze będą tylko role drugoplanowe. Są nazwiska znane każdemu i takie, które dopiero po skojarzeniu z twarzą wywołują „a-ha!” (albo i nawet wtedy nie...). Są wreszcie aktorzy od pokoleń i pierwsi w rodzinie, bez tradycji - jak Władysław Kowalski, pamiętny w roli Jerzego w serialu telewizyjnym „Kolumbowie” z roku 1970.

Chciał być chemikiem, ale polonista, jak aktor wspomina, „kupił mi bilet do Warszawy, napisał na kartce, gdzie się

zgłosić, i tyle. Wcześniej w szkole w Łławie kazał mi recytować wiersze”. Zdał zatem Władek do szkoły aktorskiej, a o przyjęciu zdecydował głównie jego głos - niski, o bardzo interesującej barwie. Lata studiów były okresem nadrobienia zaległości w stosunku do kolegów z miasta, „obłądnego czytania po dwie książki dziennie”, gdyż, jak aktor dalej mówi, „dziś nikt tego nie zrozumie, ale wtedy przepaść między Warszawą a zakutą wsią to były wieki. Tu teatry, kina, filharmonie, książki i w ogóle prąd, a tam lampy naftowe, żadnej biblioteki, ewentualnie jakieś zniszczone podręczniki szkolne”.

Po raz pierwszy na ekranie pojawił się w roku 1956, w „Kanale” Andrzeja Wajdy. Grał w filmach tak znakomitych reżyserów jak Wojciech Jerzy Has, Krzysztof Kieślowski czy Kazimierz Kutz. Teatr Wybrzeże w Gdańsku był miejscem jego pierwszych występów na deskach scenicznych. Po przeniesieniu się do Warszawy grał w Teatrze Ateneum, potem związał się na lat trzydzieści z Teatrem Powszechnym, a obecnie należy do zespołu Teatru Dramatycznego. Pracował z tak znanymi reżyserami jak Konrad Swinarski czy Krystian Lupa. Szerszej widowni znany jest z ról w Teatrze Telewizji, a zwłaszcza z kreacji w sztukach Antoniego Czechowa, gdzie zagrał prawie wszystkie najważniejsze role męskie. Dla wielu widzów zarówno Łopachin z „Wiśniowego sadu”, Andrzej w „Trzech siostrach” jak i Wojnicki w „Wujaszku Wani” zawsze będą mieli twarz Władysława Kowalskiego. Na deskach Teatru Powszechnego stworzył znakomitą kreację w roli Podkolesina w „Ożenku” Mikołaja Gogola, za którą został uhonorowany wieloma nagrodami. Najszerzej widowni zaś - miłośnikom seriali - dał się poznać Władysław Kowalski w roli lekarza w „Na Wspólnej”.

Na drogę do aktorstwa, i to na najwyższym poziomie, los rzucił Kowalskiego bez jego woli: „Ja tak nie chciałem być aktorem. To absolutny przypadek, że ten nieśmiały, zahukany i zakompleksiony Władek trafił na scenę - mówi aktor. - Najlepiej znałem się na krowach, podorywkach i siewach. Umiałem kosić kosą, wiązać snopki i je młócić. Ja nawet dobrze mówić nie umiałem. Zaciągałem z takim śpiewnym, trochę ukraińskim akcentem. Aktor? W mojej wiosce na końcu świata nikt tak nie myślał. Tu wszyscy rodzili się i zostawali rolnikami. Ja też miałem kiedyś objąć gospodarke...”. Tak się jednak nie stało. Młody Władysław zostawił wyciąganie kamieni z pola, zaganianie krów, jeżdżenie na oklep na koniach. Zostawił dzieciństwo, gdzie nie mógł skupić się na odrabianiu lekcji, bo słyszał nieustannie: „Władek, chodź, pomożesz! (Bo na wsi zawsze coś było do zrobienia)”. Zostawił ukochane eksperymenty chemiczne, po których matka cerowała mu dziury powypalane w roboczych fartuchach. Wziął od polonisty bilet i pojechał do stolicy, by zanurzyć się w świat zupełnie inny - w aktorstwo.

Pytany o aktorstwo, Władysław Kowalski zaskakuje odpowiedziami. Nie używa górnolotnych słów, nie mówi o posłannictwie, misji czy stanach uniesienia. Do swojego zawodu podchodzi z rozwagą i nawet z pewnym zakłopotaniem. Praca aktora jest dla niego trudna do określenia, bo co zostaje po przedstawieniu? - jak sam mówi, „powietrze tylko..., no, może chwile wzruszenia...”. Wychowany na wsi, wyrósł w świecie konkretnym. Ulotność gry zawsze była dla niego trudna do pełnej akceptacji: „Nigdy nie byłem szczęśliwy z powodu, że

*ciąg dalszy na str. 10*

# wiersze najnowsze

Emilia Maraškiewicz, Dartowo

## MAGIA JESIENI

patrzę przez okno  
na wrześnieowy poranek  
i senne astry

modrym spojrzeniem  
przemierzam niebo szare  
niby skowronek

rozczulony wiatr  
snuje się po ogrodzie  
z opalową mgłą

pod powiekami  
zmartwychwstałe dzieciństwo  
ojedwabnia twarz

## PODRÓŻ W CZASIE

w fotelu na biegunach  
otoczona blaskiem świec  
wygląda jak manekin

półprzezroczysta twarz  
głębokie zmarszczki  
niczym rysy na szklawie  
porcelanowej filiżanki

na podołku ruda kotka  
a za oknem obrazy  
odliczane pozątkłymi liśćmi

Jan Wiśniowski, Koszalin

## KONIEC CISZY NAD MORSKIM OKIEM

(jeziorem podkoszalińskim, nie tatrzańskim)

Gdzieś tam wisi kalendarz, gdzieś tam  
straszą choroby  
i czyhają lekarze by je mnożyć uczenie  
A tu cisza i spokój, a tu słońce i upał  
i woda wręcz przezczysta, i lobelie w nabrzeżu  
a las dookoła - stary sosnowy bór

Gdzieniedzie tkwią roszki  
w torfowców dywanie  
a trzciny nieśmiało powiewy chwytają  
w listowia poszumy i w wody  
zmarszczoną toń

Hen w górze gromadzą się kłębiaste chmury  
i błysk je rozświetla i ciszę zakłóca grom  
Wnet sielanka się kończy. Cumulonimbusy  
ujawniają wreszcie swą hojność bezdenną

W ulewy strumieniach wśród jaśnień  
błyskawic  
i łoskotu gromów las żegnam z pokorą  
I jezioro i ciszę, w której jasne są myśli  
a refleksji bogactwo zaskakuje mieszcuchów

Poszum wichru nad borem wraz z melodią  
ulewy  
koją nerwy zszargane w codzienności  
zmaganiach  
a gradowe pociski wystukują rytmicznie  
leśno - wodno - burzowe przestanie

Bezcenne przestanie niewyraźne słowami  
wymykające się z twardych reguł logiki  
bliższe sferom czucia i wiary znanym  
wieszczom  
niż preferowanym przez mędrców szkiełku  
i oku

Zofia Maria Smalewska, Naćmierz

## BUKIET KWIATÓW POLNYCH

Nazbierałam kwiatów  
w polny bukiet upięłam  
dla mojego mistrza poety  
dla mojej miłości  
Wpatrzona w kobierzec łąk  
oddycham powietrzem kwiatów  
dusze ziół zaklinam  
w moc Maryjnego Święta

Pamiętam tamte stokrotki  
uwite z nich wianki - zakładali je  
chłopcy swoim wybrankom  
Wspominam romantyzm czasów  
gdy kochankowie przynosili kwiaty  
Kochanek brodził w jeziorze  
zrywał mi nenufary

Obrywałam płatki rumianków  
kocha... lubi... nie kocha...  
- czy to miłość prawdziwa?  
Zasuszyłam niezapominajkę wiersza  
- polne wspomnienia  
wzruszenia łąkowe

Minęła moda na romantyczne spacery  
i pikniki na obrusie leśnej polany  
Minęła pora słuchania dzwonek  
białolicej konwalii  
i szmerów strumieni  
Teraz cieszę oczy i serce polnym bukietem  
Poeta wierszami czas zatrzymał  
dziękuję mu za to

## KAWA TUREK

chłodny poranek rzeczywistość za oknem  
na stole czarny chleb i kawa Turek  
jej kawa - piła ją w samotności  
- kawa przyjaciółka

na emaliowanym kubku gotąb  
a na opakowaniu on - czarny Turek  
- uśmiechał się spod zakręconego wąsa  
w kubku czarny lek na chandrę i biedę

szukała szczęścia pragnęła wolności  
o miłości bała się myśleć  
ulegając namiętnościom  
wzdychała do piekła

w oparach drażniącej zmysły cykorii  
jawił się on - szatan  
anielska błogość  
i stodycz utraconej miłości

piła ją moja babcia Rozalia i ja ją piję  
dzisiaj płynny heban leję w porcelanę  
- Turek espresso mokka  
nie czuję zazdrości

przymykam powieki trzeszczy podłoga  
siadam przy starym stole  
i wspominam babcie  
babcia Rozalia uśmiecha się do mnie

pieca już nie ma a jednak się pali  
iskry trzaskają skrzą się oczy Turka  
płynie aromat zwykłej wiejskiej kawy  
jest babcia jest on i moja tęsknota

Ustka, 15 września 2014

Jan Stanisław Smalewski, Naćmierz

## LATO NA WSI - 2014

Gorąco - przypiekają się wiersze  
słoneczniki głowy odwracają do słońca  
idę wzgórzem przez chabrowe powietrze  
wciąż podążam tą drogą wypatrując już  
końca

Może deszcz lub jeziora toń chłodna  
ochłodzi wędrowca ugasi łaknienie  
Od dzieciństwa tak idę - za mną wieś głodna  
a przede mną niewiadome przestrzenie

Minąłem wieś małorolną pegeery i kółka  
idę jest upał wodę w dziobie swym młodym  
niesie czarna jaskółka Mijam ugor bez urody  
potem ziemię niczyją A czyj ja jestem

Nie zapytam dziadków bo dziadkowie nie  
żyją  
Pytam Ciebie - Panie może mi odpowiesz -  
Czyja jest ta wieś dzisiaj Kto ją tak kocha  
jak ją kiedyś kochali moi pradziadowie



Anna Boguszewska, Słupsk

## POCZTÓWKA ZE SNU

oczami czasu pamiętam proroczy sen  
na czarno - białej pocztówce  
dwie przestrzenie czasu i Ty

szare morze pełne martwych fal  
patrząc mi w oczy płynąłeś ostatkiem sił  
po wystraszonej twarzy sphywały krople  
wody

nazajutrz spokojny głos z telefonu  
cedził słowa...  
katastrofa... statek zatonał...

Twój Anioł Stróż strzegł duszy i ciała  
wróciłeś cały i zdrowy  
śmierć była tak blisko...

## WOJENNE PIEKŁO

rosyjski reżyser bez twarzy  
rozdaje tragiczne role  
żołnierze i czołgi na ulicach miast  
kule dosięgają niewinnych ludzi

purpurowy deszcz krwi  
wsiąka w ziemię  
wojenne piekło ma zapach śmierci  
smak bólu i dreszcz strachu

Ukraina płonie  
pociski latają nad Mariupolem  
zabłąkani ludzie szukają schronienia  
wyludnione miasta straszą pustką

wstrząsającą nagość życia  
okrywa ciemność nocy  
czarna rozpacz snuje się  
po ukraińskiej ziemi

możnowładco  
już pół do godziny później  
powstrzymaj przemoc  
zatrzymaj agresję

Piotr Sikorski, Słupsk

## WSPOMNIENIE ZIEMI

Moja ziemia pachnie chlebem,  
Tym zwykłym, powszednim chlebem.  
Od wieków ugniatały ją  
Ręce ojców naszych - jak ciasto  
W starej babcinej kuchni  
W sobotni wieczór.

Na mojej ziemi rozlało się zboże,  
Łany wysokie i gęste, rozkołysane  
W takt tamtych ciepłych podmuchów.  
Te łany zbieraliśmy w pocie czoła.

Do mojej ziemi, do tych zbóż,  
Drzew, jezior - tęsknię czasem.  
Na wielu drzewach została  
Skóra z moich kolan,  
Na piasku woda zmywa  
Ślady moich stóp.  
I ten znak wyskrobany kozikiem  
Na młodym drzewie -

Dziś i drzewo stare  
I znak jakby większy.  
Razem dorastali.  
Wieczorne ognisko  
Sypiące iskrami w niebo -  
Jakby gwiazd było mało  
Dla młodego serca.  
Tęsknię czasem.

Zenon Marian Lasoń, Słupsk

## PACHNĄCE WIERSZE

Z pól zebrane wiersze  
Pachną jak sierpniowe zboże  
Jak ziemniaki zwożone jesienią  
Jak siano latem  
Pomieszane z potem  
Jak klekot bociana  
Na dachu kościoła  
Jak sowy głos  
W starym dębnie  
Nad uspionym stawem.

## NATCHNIENIE

W milczeniu zbieram myśli zagubione  
w przestrzeni czasu  
niesiony na skrzydłach  
wyrosłej wyobraźni  
palcami uderzam  
w struny natchnień  
i płynę w obłokach  
bezkresnych pejzaży  
a potem  
maluję świat zdarzeń  
by słodko zasnąć  
w barwach  
wymyślonej poezji.

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

## JUTRO BĘDZIEMY ROZMAWIAĆ, ALE NAJPIERW MODLITWA, NIE MOGĘ SIĘ WCIAŻ O MODLITWĘ PROSIĆ...

Motto: Modlitwa duszy jest ważna  
jak modlitwa ciała.

Spełniam i wypełniam swoje posłannictwo  
odkładam to co może być mniej ważne -  
poznaję tajemnice nie tylko wdzięku  
zapraszam miłością wschody słońca.

Umiesz mnie przyjąć jako kobieta -  
lubieżność ma stałe fragmenty powtórzeń  
obezwładniam twe ciało by nadać  
sens dwojgu ludzi w uścisku jesieni.

Drzewa poranne kładą się na wzgórzu  
niebo potrafi być takie szczere -  
wobec sygnałów kochanka z północy  
kiedy zaczyna zapisywać sonety.

Rdzeń nabiera złotego koloru  
muskasz mnie daniem podniety -  
w kołyszącym rejsie płyniemy  
do samego portu spełnienia.

Otwórz wrześnie wołanie  
do okna się zbliżam z bukietem.

## OBAWIAM SIĘ BURZY W CZASIE MIŁOŚCI

To nic Ewo  
zawsze możemy się schować  
do pobliskiej stodoły  
dokończyć czego nie rozpoczęliśmy...

W tym roku nie zakwitła grusza  
i nie mam owoców z jej drzewa  
to nic poczekam na drugi rok -  
czekanie jest takie romantyczne.

A ty żyjesz kolorowo  
ustawiasz w oknie świat  
czasem spojrzysz na drzewko  
o imieniu (Zygmuntek) -  
tak zdecydowaliśmy w ogrodzie.

Co jeszcze chcesz ode mnie  
oprócz tylu wierszy powstałych  
idę ulicą Klonową - nie widzisz mnie  
z Kazikiem Furmanem i Małgorzatą Hillar  
właściwie to zabłądziliśmy...

Poeci mają własne ścieżki  
każdy z nas nazywa po swojemu  
brzmi harmonia w samej harmonii  
- muzyk ślepiec gra jak z nut.

Poprosiłem go by dla ciebie zagrał  
„Tango Milonga” - moi rodzice  
tańczyli w pokoju a kotchoźnik grał  
i było jakoś inaczej w tym świecie.

To nic...

Jadwiga Michalak, Naćmierz

## WIDOK ZAPAMIĘTANY

opuszczona zagroda bez życia  
dzikim wnętrzem i kurzem zarasta  
zielsko zuchwale węzowym spletem  
spina swe królestwo w arogancję ładu

szycerzo zarośnięty sad  
cierpkie daje owoce  
nikt nie zbiera jabłek robaczywek

pod tym adresem brak adresata  
ucichł gwar śmiechy kroki  
na zawsze umilkło życie

rozczochrana szpetna jędrza  
zaniedbana niekochana  
z martwą ciszą w środku  
zostawiona wiejska zagroda

ile jeszcze lat upłynie  
kto rozerwie nić pajęczą  
odczaruje złe zaklęcie  
i tej kiedyś pięknej ziemi  
podaruje nowe serce...

Krystyna Pilecka, Koszalin

\*\*\*

Znów minął dzień  
i... cóż mam ci powiedzieć  
gdy noc - księżyc w pełni jak misa  
a ja... gnuśnieję w bierności  
szarpie się w szukaniu porozumienia  
ze sobą i zastygam zdumiona  
patrzac na świat...  
noc upraszcza wszystko  
powleka poświatą srebrzystą  
dodając blade światło gwiazd  
jak szlachetny strumień  
na nadchodzące jutro  
i... otacza mnie magia nocy  
tylko latamnia uliczna udaje

aniola stróża trzymającego światło  
w którym jesienny wietrzyk  
coś w „a-moll” cicho gra...

Halina Staniszevska, Słupsk

Kobierzec nadziei  
Z wiatru misternie utkany  
Zroszony cichym szeptem  
potęgi umysłu  
Wyrusza w drogę  
podnosząc wysoko widzenie  
ponad horyzont istnienia  
Zanurzając w przestrzeń  
Pazur życia.

*prawdziwa praca to ta, po której coś zostaje - ciąg dalszy ze str. 7*

jestem aktorem. Oczywiście, rodzice też uważali, że to nie to. Zbyt wielki przeskok był między tym, skąd pochodzę, a gdzie się znalazłem w dorosłym życiu. Przyzwyczajony byłem do ciężkiej fizycznej pracy, jak to na wsi. Przecież, jak już mogłem kosę podnieść, to nią machałem. Lubiłem konkret - widziałem, że skosiłem, ile zaozałem. Że zwieźliśmy z tąta do stodoły. To była prawdziwa praca”.

Prawdziwa praca według Władka z Żurawiec to ta, którą widać, po której coś wymiernego zostaje, i która przynosi pożytek. Jak praca rolnika. Kreowanie ról w teatrze czy filmie nie przynosi Kowalskiemu pełnego zadowolenia - a mówi to aktor uznawany za wybitnego! Grał u najlepszych reżyserów, współpracował z najwybitniejszymi twórcami polskiej sceny i filmu, a wciąż czuł niedosyt, bo brakło mu czegoś namacalnego, tych worków zboża przeniesionych na własnych plecach, a nie uginania się pod wymagowanym ciężarem. A przecież osiągnął najwyższy poziom aktorstwa właśnie dzięki pracy. To przecież na wsi, w świecie konkretnym, nauczył się, że życie to praca: „Do dziś, przygotowując rolę, nigdy nie odpuszczam”. Role szlifuje do doskonałości, z uporem: „Kiedyś grałem Maxa Ernsta w polsko - francuskim filmie. Była tam scena, w której Ernst kończy malować obraz i go podpisuje. Godzinami ćwiczyłem ten podpis z oryginalnym. Wciąż przekonany, że jest zły, nieautentyczny, nie ten. Aż mi ręka spuchła. Bo musi być idealnie. W końcu reżyser powiedział: <Ladislav, to tylko film!>”. No właśnie, tylko film, a dla chłopskiego syna była to praca, która należało wykonać tak jak trzeba, bo jak się nie zaozre, to się nie posieje...

Mieszkał Władysław Kowalski w Warszawie, pracował w stołecznych teatrach, ale gdy tylko mógł, wracał do siebie na wieś. Grał powstańca Jerzego w „Kolumbach”, chłopaka z inteligentnego domu, a w przerwach zdjęć jechał do rodziców pomagać w żniwach. Najbardziej chciał wracać na wieś w czasie studiów: „Przyjaźniłem się z Januszem Michałowskim. I on nawet raz ściągnął mnie z powrotem z Dworca Gdańskiego. Spakowany upierałem się, że wracam do domu...”. W Warszawie aktor krótko tylko mieszkał w Śródmieściu: „Po prostu chłopca ciągnęło na pole. Wyniosłem się tam, gdzie bardziej zielono.” Gdy przeniósł rodziców pod Warszawę, do domu z ogrodem, ci „działkę, która miała dwa tysiące metrów, przekopali w dwa tygodnie i na tym skrawku ziemi odtworzyli swoje gospodarstwo w mikroskali. Te pomidory, te ziemniaki... Nigdy potem takich nie jadłem. Były kury, gęsi. I gadanie ojca: <Władek, ziemi trzeba dokupić!>. Powtarzał to do

śmierci”. Rodzicom też Władysław Kowalski zawdzięcza to, jak mówi, że nigdy nie wstydział się chłopskiego pochodzenia. A tę chłopską mentalność odnajduje w sobie łatwo i wciąż, to „pragnienie rzeczy namacalnych, ziemi, kamienia, narzędzia. Dojmujące to jest. Wszystko takie wymierne. Bezpieczne. I coś konkretnego z tego zostaje. A aktorstwo? Ciężko pracuję całe życie, ale gdzie to jest? Dwie godziny spektaklu i wszyscy się rozchodzą”. Nawet ze swojego ciągłego grania, bez przerwy w karierze, próbuje Kowalski wyciągnąć konkretny, namacalny sens: „Próby. Granie. Próby. Granie. Byłem aktorem potrzebnym. Nieustannie potrzebnym. Jak takie solidne narzędzie, brona, pług, grabie”.

Władysław Kowalski grał zatem, rola za rolą rozwijając swój talent, zbierając pochlebne i entuzjastyczne recenzje, jak choćby: „Spokojny, oszczędny i wyważony styl gry Kowalskiego często opierający się na dyskrejacji i wyciszeniu, ale jednocześnie wyrazisty i pokazujący wewnętrzne skomplikowanie postaci dawał świetne rezultaty w dramatach Antoniego Czechowa” czy: „Kowalski potrafił nie tylko zbudować postać intelektualisty - urzędnika z przełomu wieków - ale umiał też naprawdę przekonywująco pokazać kłeskę tego myślącego i czującego głęboko człowieka wobec tego, co w ludzkiej naturze i w ludzkich sposobach widzenia świata pozostaje ciemne, niezrozumiałe, na pozór naiwne i łatwe do obalenia, a w istocie niezwykle mroczne, groźne, wspaniałe”, albo też: „Stworzył przejmujące i osobiste studium przypadku, które Jakuba Rosenberga, Żyda w getcie przeniosło w inny wymiar egzystencjalny”. Talent Kowalskiego powoduje, że sięgali i sięgają wciąż po niego najwięksi reżyserzy. Aktor gra w teatrze, filmie, bywa też reżyserem. Miał w życiu zawodowym szczęście, bo, jak sam mówi, od czasu debiutu spotykał mądrych, ciekawych ludzi, dyrektorów teatrów, znakomitych reżyserów. Wciąż tylko nie umiał tego swojego aktorstwa docenić, nie czuł z grania pełnej satysfakcji. Z sukcesów się cieszy, ale ta radość jednak mija, bo „zostaje powietrze tylko...”.

Władysław Kowalski, tylekroć tak przekonywująco grający role inteligentów, pozostał zatem ciągle człowiekiem wsi, dla którego aktorstwo owszem, jest zajęciem czy zawodem, ale prawdziwa praca to nie z rolą, ale ta na roli. Gdy zaś jedzie do Żurawiec, do ziemi swojego dzieciństwa, to jedzie do ziemi, gdzie „niebo takie gwieździste, jakiego nigdzie nie widziałem. I ta nostalgia, także дума, że tu urosłem”.

*Jolanta Betkowska, Słupsk*

# o filmie „bogowie”



*Zagranie roli w filmie „Bogowie” przez Tomasz Kota jest rewelacyjne. Przede wszystkim przekonujące, pełne aktorskiej pasji i profesjonalizmu*

Jeszcze w połowie lat osiemdziesiątych minionego wieku ciężkie zawały serca należały do nieuleczalnych, a chore serce pacjenta - jako organ ludzkiego ciała - było uważane za nie do naprawienia. Kiedy rodzic chorego dziecka prosił lekarza: Panie doktorze, niech pan ratuje mojego syna (moją córkę), on (ona) umiera, mógł usłyszeć jedynie te słowa: A co ja jestem bogiem? Zwróćcie się do niego. Dzisiaj w razie potrzeby operacji serca dokonuje się nawet na nienarodzonych dzieciach w łonie matki, a transplantologia, czyli przeszczepianie organów ludzkiego ciała, w tym serca, nikogo już nie dziwi.

Jan Osiecki na początku wywiadu - rzeki zaprezentowanego w książce „Zbigniew Religa. Człowiek z sercem w dłoni” pyta profesora wprost: Co czuje człowiek, mając serce ludzkie w dłoni? Tak zaczyna się książka, na podstawie której opracowano scenariusz do nagrodzonego w Gdyni Złotymi Lwami filmu „Bogowie” i podobnie zaczyna się film. Już na pierwszych kadrach pojawia się on: chirurg - wizjoner, buntownik, który rzuca wyzwanie wszelakim przeciwnościom, łamie dotychczasowe stereotypy i bierze w swe dłonie ludzkie serce.

W książce czyta się o tym z... biciem własnego serca, uruchamiając własną wyobraźnię na poziomie własnych doświadczeń i wiedzy. Na filmie zderzamy się od razu z szokującymi scenami bezpośredniego zbliżenia martwego człowieka, otwarcia jego klatki piersiowej, wyjęcia serca i zaprezentowania go widzowi. Tym razem w swe dłonie serce człowieka bierze aktor, doskonały odtwórca roli Zbigniewa Religi - Tomasz Kot.

Widziałem, jak w tym momencie jednej pani przede mną zrobiło się słabo, jak kilku innych widzów zamykało oczy na tę, a potem inne szokujące - krwawe sceny, których reżyser, by oddać nie tylko prawdziwość sytuacji, ale i realizm warunków, w jakich toczy się akcja filmu, nam nie szczędził.

Spokojnie Czytelniku - dobrego gustu, ani przystawionego smaku reżyser nie naruszył. Ba, bez krwi i prawdziwych scen z sal operacyjnych opowieść nie byłaby do końca prawdziwa.

Profesor Religa rozpoczynając swoją książkową opowieść o życiu i niezwykłej pracy chirurga odkrywcy rozpoczyna od wyjaśnienia, że serce ludzkie jest zwykłym kawałkiem mięsa. Jest pompą przez którą przepływa krew. To sterylnie przygotowane do wszczepienia w klatkę piersiową pacjenta jest chłodne, ma 4 - 8 stopni Celsjusza. Chirurg czuje tylko chłód. Prawdziwe emocje, radość i wzruszenie pojawiają się dopiero wówczas, gdy zaczyna ono pracować, pompować krew.

Reżyser Łukasz Palkowski nie jest Krzystkiem, nie pokusił się o zrobienie z książki serialu z życia sławnego naszego

chirurga, ale wybrał z niej rzeczy najistotniejsze. I trzeba przyznać dokonał trafnego wyboru, bo okazał się przystawionym strzałem w... Złotego Lwa.

Jest zatem odniesienie do pierwszej, zakończonej śmiercią pacjenta na stole operacyjnym transplantacji serca dokonanej przez profesora Mola, potem doskonałe przejście sytuacyjne - z relacjami naukowymi, mentalnością medyków i ludzi ówczesnego systemu władzy - do pierwszej i kolejnych transplantacji dokonanych przez docenta Zbigniewa Religę. Jest przekonujące odniesienie do peerelowskiej rzeczywistości, z którą przyszło się mu zmagać. Jest wreszcie - co obok historycznego zapisu z dziejów polskiej transplantologii - w filmie najważniejsze, ukazany dramat człowieka. Młodego naukowca, upartego lekarza z marzeniami i sporym jak na polskie warunki dorobkiem i doświadczeniem medycznym. Lekarza, który już jako student medycyny nie bał się skalpela i wykonywał dziesiątki operacji chirurgicznych. Którego miał szczęście odbycia kilku lat praktyki w Stanach Zjednoczonych, zobaczyć i poznać świat za żelazną kurtyną. Był internistą, urologiem, naczyniowcem, chirurgiem dziecięcym. Przeżył i doświadczył wielu ludzkich dramatów śmierci z powodu nieuleczalności niektórych chorób serca. I który wreszcie odrzucił pokusy pozostania w Ameryce, podjęcia pracy w stolicy, by... stworzyć własną klinikę w Zabrze i podjąć wyzwanie na



miarę najwyższą - zastąpienia Boga w nieuleczalnych dotąd sprawach serca.

Przede wszystkim - gdyż nie zapominajmy, że jest to przede wszystkim gra aktorska - film cechuje doskonałe wcielenie się w postać Zbigniewa Religi znanego już aktora Tomasza Kota.

Kot do perfekcji opanował zachowanie (sposób bycia) i wszelakie przywary Religi. Mnie osobiście przeszkadzał jedynie troszeczkę wzrost aktora. Gdyby był nieco niższy i był silniejszej postury byłoby idealnie. Mimika, wyraz twarzy, charakterystyczne pochylenie sylwetki, no i... nieodłączny papieros, nałóg który - jak wiemy - pokonał naszego wielkiego chirurga. Innowatora, wynalazcę i twórcę między innymi pozastrojowego wspomaganie obiegu krwi przy przeszczepach i sztucznej komory serca.

Religa, który sam przedłużył, bądź dał nowe życie setkom swoich pacjentów, w ogóle nie szanował życia własnego. Siernieżność warunków, jakie cechowały we wszystkim polskie szpitalnictwo i leczenie, sprawiała, że pokonanie wielu barier, zmuszało często Religę do wręcz nadludzkich wysiłków. Jego osobowość silna stanowczością, uporem i ambicją naukowca - praktyka często musiała zderzać się ze zwykłymi ludzkimi słabościami nieradzenia sobie ze stresem. I nie tylko z powodu braku zrozumienia przez tych, od których zależał los tworzonej przez niego kliniki w Zabrze, ale także na przykład nieoczekiwanej śmierci pacjenta. Chirurg popadał wówczas w kilkudniowy alkoholizm i depresję.

Religę znano także z tego, że lubił szybką jazdę. Swoim fiatem 125p przejeździł ponad milion kilometrów, głównie pomiędzy Zabrzem i Warszawą, i odwrotnie.

Nie był Bogiem. Mimo wszystko był zwykłym człowiekiem, który wciąż - jak zalecał mu to słynny profesor Mol - uczył się pokory. Który polską transplantologię postawił na poziomie światowym, wykształcił dziesiątki polskich chirurgów transplantologów.

Zagranie tej roli w filmie „Bogowie” przez Tomasza Kota jest rewelacyjne. Przede wszystkim przekonujące, pełne aktorskiej pasji i profesjonalizmu. Film jest mocny, ogląda się go z dużym przejęciem. Prezentuje wartości inne niż dotychczas nagradzane podczas festiwalu filmowych w Gdyni filmy o wojnie i miłości. Uczy pokory, dystansu do samego siebie, do życia i śmierci. Ma też zabarwienie naukowe, interdyscyplinarne medyczne.

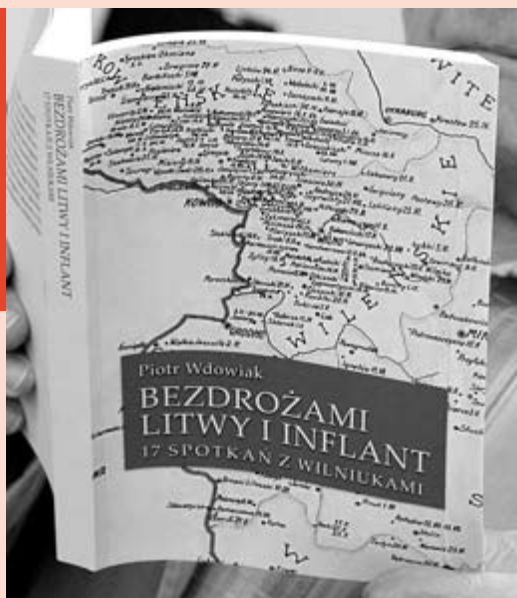
Film w całości jest nietypowym dramatem, który kończy się szczęśliwym happy endem.

*Jan Stanisław Smalewski, Naémierz*

# bezdrożami litwy i inflant



*Czwartkowy (9 października br.) wieczór w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku upłynął pod znakiem historii. W Czytelnii Naukowej odbyła się prezentacja książki Piotra Wdowiaka, pt. „Bezdrożami Litwy i Inflant. 17 spotkań z Wilniukami”*



Oprócz tego autor przedstawił obecnym pokaz slajdów oraz szereg fotografii związanych z historią Litwy. Wizyta autora promowanej książki w gmachu dawnego kościoła św. Mikołaja miała w zasadzie charakter akademickiego wykładu.



P. Wdowiak dość szczegółowo i z teutońską pieczołowitością podszedł do sprawy polskich dumnych rodów, których aktywność na terenie dawnej Aukštoty obecnie już dogorywa. Dało się odczuć niewątpliwą pasję autora, z którą ochoczo próbował dzielić się z licznym słupskim audytorium. Spotkanie poprowadził pisarz i pracownik biblioteki, Daniel Odija.

Piotr Wdowiak sam siebie określa mianem Europejczyka Środkowo-Wschodniego. Ten urodzony w Łodzi były już dyplomata swoją karierę zawodową związał z polską misją dyplomatyczną na Litwie, z ramienia której sprawował odpowiedzialną funkcję konsula. W Ambasadzie RP w Wilnie zajmował się

głównie problemami dotyczącymi ludności polskiej. Imał się też pióra, czego dowodem są liczne artykuły publikowane

na łamach „Polityki”, „Tygodnika Powszechnego”, „Przeglądu Prawosławnego” oraz „Dialogu-Pheniben”. Z racji zdobytego wykształcenia, a trzeba nadmienić, że autor książki jest absolwentem filologii rosyjskiej i sowietologii na Uniwersytecie Łódzkim oraz podyplomowych studiów dziennikarskich na Uniwersytecie w Bielefeld, w 2008 roku wydał „Ikony Rosji”.

„Bezdrożami Litwy i Inflant. 17 spotkań z Wilniukami” Piotra Wdowiaka nie jest typową książką historyczną. To zbiór 17 rozmów, które autor przeprowadził z mieszkańcami Wilna narodowości polskiej, tj. tytułowymi Wilniukami. Co jest istotne, nie były to tylko starannie wyselekcjonowane osoby starsze, które pamiętały czasy, gdy polska flaga hardo łopotała na gmachach polskich urzędów czy gimnazjów. Jego rozmówcami byli także ludzie młodzi, którzy urodzili się w wolnej Litwie. Z konwersacji tych wynikało, że Polacy, delikatnie rzecz ujmując, nie są traktowani najlepiej w ojczyźnie Mendoga, Giedymina, Kiejstuta czy Witolda. I to nawet, pomimo że Akcja Wyborcza Polaków na Litwie jest w liczbie ośmiu posłów reprezentowana w Sejmie Republiki Litewskiej, w osobie jednego w Parlamencie Europejskim, a ministrem energetyki jest w rządzie Algirdasa Butkevičiusa - Polak, Jarosław Niewierowicz. Nawiasem mówiąc, pomawiana o polonofobię prezydent Dalia Grybauskaitė, robiąc niedawne czystki



w rządzie zostawiła na stanowisku Niewierowicza. Jak widać, poziom wiedzy energetycznej opanował równie dobrze jak niedoszły komisarz Unii Europejskiej do spraw energii, Jan Krzysztof Bielecki.

Jakiego narodu Litwini nie lubią? Pierwsze miejsce, jak w wielu krajach Europy, Azji, Afryki i wszędzie tam, gdzie dociera sygnał nadawany przez BBC, CNN, ARD, RAI czy Telewizję Polską z jak zawsze żywo dotkniętym i przejętym Piotrem Kraśko na pokładzie, zajmują Rosjanie. Rusofobii ulegli wszyscy, także Litwini. Najwyższe miejsce na podium zatem nie dziwi. Drugie chyba też nie, bo zajmują je Polacy. Ludzie pamiętają czarne karty historii Armii Krajowej w Dubinkach, agresywną politykę Józefa Piłsudskiego w dobie dwudziestolecia międzywojennego wobec Litwy oraz polską ksenofobię i nacjonalizm. Nie była to tylko polska specjalność, bo czas po I wojnie światowej to prawdziwy wysyp nacjonalizmów. Ostatnie wybory do Parlamentu Europejskiego pokazały, że w drugiej dekadzie XXI wieku, również.

Czytelnicy zgromadzeni w Czytelni Naukowej najwięcej dowiedzieli się o architektonicznej spuściznie polskich, wysoko urodzonych wielmożach błękitnej krwi. Trochę mniej o samej Litwie, na której przyszło im żyć. A najmniej o Inflantach. Czysto, subiektywnie co prawda, ale bez żadnej złośliwości i kąśliwości można stwierdzić, że z tytułu książki można by z powodzeniem wykreślić słowo Inflanty, a ona sama nie straciłaby na wartości. Paradoksalnie bez tego terminu, który przecież odnosi się do Łotwy i Estonii, jej odbiór mógłby być pełniejszy. Spotkanie było litwocentryczne. Ja, jako zwykły zjadacz chleba, wychowany na szerokości geograficznej kultu obiadu złożonego z naprędce przygotowanej surówki, ziemniaków i niedbale rzuconego na nie kotleta schabowego, czułem się nieco tym faktem zasmucony. Brakowało mi takiego szerszego spektrum geograficznego, kulturowego i społecznego. Nie sami Litwini żyli i żyją na terenie dawnych włości Zakonu Kawalerów Mieczowych. Spotkanie miało mnie i innych zachęcić przecież do kupna książki.

W toku wywodu Piotra Wdowiaka, pomimo że pozornie obfitego, dało się niestety odczuć brak historycznego wykształcenia autora. To wszak nie jest wielki zarzut, bo książka

„Bezdrożami Litwy i Inflant. 17 spotkań z Wilniukami” nie aspiruje do pracy naukowej, a jej wartość opiera się w głównej mierze na sprawnym wykorzystaniu narzędzi oral history. Z drugiej jednak strony, można zajmować się pojedynczymi przypadkami, ale nic one nie znaczą, kiedy nie uwzględnia się ich historycznego kontekstu. Pokazanie na slajdzie imponującej mapki Rzeczypospolitej Obojga Narodów w granicach z roku 1619 zapiera co prawda dech w piersiach, ale to trochę za mało. Baczne obserwowanie zdjęć nagrobków, pałaców czy lekko podniszczonych włości, chyba też. A gdzie biografie ludzi, z którymi autor rozmawiał?!

Pewien uczeń zapytał kiedyś Sokratesa, jak zdobyć mądrość. Ten zaprowadził go nad pobliski strumyk, złapał za włosy i zanurzył twarz w wodzie. Po próbie męczącego wy-



dostania się z uścisku mistrzowskiej ręki, wypuszczonego strumienia bąbelków powietrza, uchwyt Sokratesa dobrodusznie zelżał i blade jak barokowa biel uczeń mógł znów cieszyć się widokiem ateńskiej klasycyznej zabudowy. Zapytany, czego pragnął najbardziej będąc pod wodą, odparł krótko: powietrza. Z podobną siłą najbardziej brakowało mi dyskusji, ognia krzyżowych pytań i odpowiedzi. Plus był taki, że odżyły we mnie krakowskie wspomnienia, a w powietrzu na Grodzkiej 3 w Słupsku uniósł się eter dawnych wykładów na Alma Mater Cracoviensis.

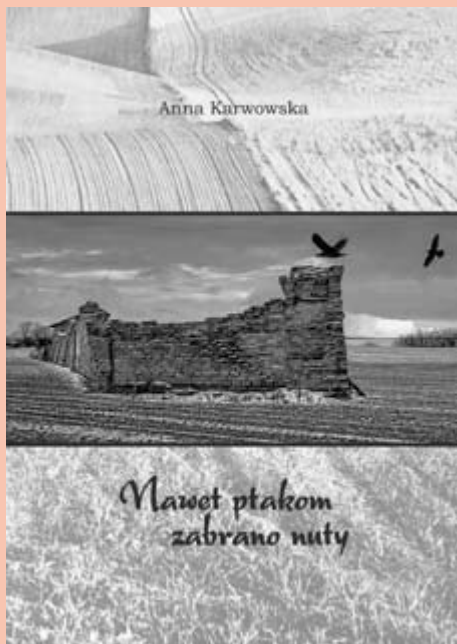
**Arkadiusz Kawalko, Słupsk**

# nowy tomik anny karwowskiej



Ukazał się nowy, drugi tomik *Anny Karwowskiej*, poetki z *Dobieszewka w gminie Dębница Kaszubska*, znanej z publikacji wierszy we „*Wsi Tworzącej*”, pierwszego, debiutanckiego tomiku „*Kocie łby*”, a także licznych artykułów prasowych o niej, w tym obszernego reportażu zamieszczonego w tygodniku „*Polityka*”

A. Karwowska to poetka niezwykła, patrząca na wieś i ludzi na niej żyjących przez pryzmat swoich doświadczeń zawodowych związanych z pegeerami. Dzisiaj nie może pogodzić się ze swoim popegeerowskim losem i losem z tamtego okresu ludzi, o których wszyscy zapomnieli. Mirosław Kościeński, wiceprezes słupskiego oddziału Związku Literatów Polskich, który pracował nad doбором wierszy do nowego tomiku zatytułowanego tym razem „*Nawet ptakom zabrano nuty*” i opatrzył go wstępem, napisał: „*Anny Karwowskiej nie można nazywać wioską pisarką, ona po prostu dzięki uporczywej pracy nad słowem jest już dobrą poetką, a ten tomik, podobnie jak pierwszy („Kocie łby”, 2010 r.), okaże się pewnie ważnym wydarzeniem na*



mapie kulturalnej Pomorza Środkowego. Twórczość Karwowskiej jest jedną wielką pochwałą tego, co istnieje, wyznaniem miłości do wiejskiego świata. Sens jej tworzenia zasadza się na przekonaniu, że autentyczny dostęp do widzialnego świata i przekazanie jego urody innym ludziom jest możliwe dzięki próbom - niechby chociaż kalekim i niepełnym - nazwania. By nazywanie świata odbywało się w sposób maksymalnie autentyczny i maksymalnie prosty, bo słowa, według poetki, są magiczne, proste, „one ratują głębię życia”. Poprzez nazywanie i przelewanie tego na papier jest posadzana przez mieszkańców miejscowości, w której mieszka (*Dobieszewko, gm. Dębница Kaszubska*) o posiadanie „żółtych papierów”. Lecz artystka patrzy na to z góry i bez chwili zwątpienia ubiera szarą popegeerowską rzeczywistość w słowa”.

Warto też przypomnieć, co ten sam autor napisał na okładce pierwszego tomiku A. Karwowskiej, zatytułowanego „*Kocie łby*”: „*Czytelnik otrzymuje do ręki książkę dziwną i niesamowitą zarazem. Jest to pierwsza poetycka próba ocalenia pamięci po pegeerowskiej wsi. Świat Anny Karwowskiej (mieszkancki małej popegeerowskiej wsi Dobieszewko w pow.*

*słupskim)* odchodzi na zawsze, tak jak odchodzi młodość i uroda, jak dzieci opuszczają rodzinne gniazdo, by szukać lepszego świata, często za granicami Ojczyzny. Poetka zdaje sobie sprawę z roli artysty i z tego, jak jest postrzegana w środowisku. Nie ukrywa przed nikim swojego podstawowego wykształcenia, ukrywa wiersze, by po raz kolejny nie zostać nazwaną

„*pierdoloną pisarką*”. Autorka prezentowanego tomiku próbuje ocalić obrazy sobie najbliższe, wspomnienia, ludzi, którzy je tworzyli, najbliższą rodzinę, spracowanych sąsiadów, którzy jednak kiedyś będą musieli uznać jej zwycięstwo, bo książka pozostanie. „*Kocie łby*”, gdyż te wiersze są takie właśnie kamieniście twarde, zaokrąglone, ale czasami kanciaste i nierówne, bo taka jest droga naszego życia, rzadko mamy prosto i bez przeszkód. Te wiersze to takie kamienie nadgryzione przez gwiazdy, właśnie nadgryzione, a nie wygłaskane i oświetlone jasnym światłem. Powstawały nie tylko dzięki talentowi, ale także w wyniku ciężkiej pracy i trudnemu życiu, jakie dane było wieść autorce”.

Poetka w drugim tomiku kontynuuje swój „*popegeerowski problem*” oraz temat, choć zamieszczone w nim wiersze nie są już takie „*kamieniście twarde*”, więcej w nich już poezji,

a mniej oskarżeń, buntu, pisania prosto z mostu, o tym, co leży poetce na sercu, co ją boli, nie pozwala spokojnie siedzieć w popegeerowskim domowym zaciszu i patrzeć z nadzieją przez okno. Te wiersze są zdecydowanie inne, krótsze, zresztą oddajmy ponownie głos fachowcowi. M. Kościeński we wstępie „*Żyły zatykałam piachem, serce granitem*” jeszcze m.in. napisał: „*Autorka zaproponowała do tego tomu ponad 400 (!) wierszy, w których głównie dochodzi do głosu (...) właściwy jej zachwyty nad światem i pojawiają się momentami znakomite erupcje liryczne, wzbudzone obcowaniem z przyrodą,*



wszak poetka spędziła całe życie, na wsi. Są to więc hymny na cześć ziemi uprawnej (czy uprawianej w dawnych PGR-ach), drzew, wiatru, obłoków, budzenia się wiosny czy mroźnego tchnienia zimy oraz ptaków”. (...) Obok niezliczonych utworów na odwiecznie (choć z dużą świeżością pokazane) tematy poetyckie, obok liryków o księżycu, wiosnie i ptakach znajdziemy wiersze, w których do głosu dochodzi swoisty kult tradycji, rodziny i domu, gdzie jest piec kaflowy.”

# wiersze z wyraźnym kobiecym rytem



*Przedstawiam próbę mojego odczytania jednego liryku z tomu „Podstuchiwałam” Ewy Frączek. Małeńki, ale starannie wydany tomik zawiera trzydzieści dwa wiersze uzupełnione grafikami Oli Ołubiec*

Oszczędny, wyrazisty liryk opisuje przeciwstawne światy, dwie kultury odmiennie definiujące pozycję kobiety. W tym co się we śnie zdarzyło, przymierzała kwef, uczyła się „świata zwężonego w szparkę”. Kobięca natura ma swoje prawa. Strój najpierw trzeba przymierzyć, nawet jeśli to tylko kwef. Ale dzięki temu zabiegowi poetycki obraz zyskuje dynamikę, bo przecież przymierzaniu towarzyszy cały rejwach kupiecki. Metafora nawiązuje w oczywisty sposób do stroju i roli kobiety w kulturach wschodu. Paradoksalna sytuacja nałożenia się dwóch odmiennych światów rodzi kolejne implikacje.

Uważa się, że istota poezji nie polega na prostym relacjonowaniu i porządkowaniu oczywistości. Jej domeną stała się tajemnica powstająca podczas wystudiowanej kolizji pozornie nieprzystających treści. Jej domeną stało się błyskotliwe, zaskakujące filozofowanie, zastanawiające i niecodzienne spojrzenie na sprawy tego świata. Liczą się pomysł i olśnienie, paradoks i odkrycie. Ważny jest niepokój duchowy i myślowy trud czytelnika, który musi porzucić łatwą odczytywaną i nastawić się na przygodę intelektualną, wielką wyprawę w głąb własnych przyzwyczajzeń i pozorów, na przekór schematom, uproszczeniom i frazesom.

Z pozoru naiwna liryczna opowieść wykorzystuje motyw snu jako projekcję nierealnej sytuacji zderzenia światów

## NIENAWIDZĘ WIELBŁADÓW

*kojarzą mi się z pustynią  
moim snem o talibach  
we śnie talibowie  
opanowali lublin  
handlarze z alei tysiąclecia  
wymieniali cebularze  
na daktyle  
ja przymierzałam kwef  
uczyłam się świata  
zwężonego w szparkę.*

*znowu poddałam się  
natychmiast*

Trzeba sięgnąć po ten tomik. Z dziennikarskiego obowiązku dodam jeszcze, że został zilustrowany specjalnie dobranymi do wierszy grafikami innej mieszkanki gminy Dębница Kaszubska - Małgorzaty Berdeckiej, natomiast zdjęcia na okładkę dostarczył też krajan - Witold Leśniewski.

**Zbigniew Babiarz-Zych  
Słupsk**

i kultur, których granice zakreślają pola skojarzeniowe. Wystarczy kilka słów, by przywołać obraz i ewokowane nim emocje. Lublin z Aleją Tysiąclecia i tradycyjnym regionalnym wypiekiem staje się kwintesencją polskiej tradycji, tysiącletniej historii. W znanym, bezpiecznym świecie sposobem deus ex machina, motywowanym konwencją snu, pojawiają się wielbłądy, pustynia, talibowie, daktyle, kwef.

Przypominam „Duże zwierzę” z Jerzym Stuhrem według scenariusza Kieślowskiego. W filmowej opowieści bowiem dobroduszny urzędnik bankowy za sprawą zwierzęcia staje się wrogiem publicznym. Wraz z żoną trwa w świecie własnych wartości przeciw społecznym fobiom. Okazuje się, nie trzeba realnych zagrożeń, wystarczy medialny zgiełk, by wbić w świadomość poczucie zagrożenia, „nienawiść do wielbłądów”. Tak łatwo ulegamy stereotypom. Znamy to z historii.

Jednocześnie przedstawiona w liryku sytuacja uświadamia, jak krucha i pozornie bezpieczna jest europejska cywilizacja. Paradoksalnie widzimy świat „zwężony w szparkę”, bo tak odległe i niedostępne są nam inne kultury i chronione przez nie wartości. Hermetyczne systemy są szansą na ocalenie przechowywanych pieczołowicie wartości, ale są zagrożeniem dla siebie poprzez wrogość zewnętrzną, która wynika z nieznaności, niezrozumienia, odmiennych interesów. Liryczny postulat „uczenia się świata” proponowany przez „kobietę” opcję nie jest pozbawiony racji. Wymiana cebularzy na daktyle brzmi jak zaproszenie do łamania chleba. W świecie kultury arabskiej, wzdłuż dwóch kontynentów - Azji i Afryki, daktyle wymieniane są jako jeden z głównych składników pożywienia. W proponowanej w liryku wizji świata orężem talibów są daktyle. To tylko sen?

Paul Refsdal, Norweg, najbardziej rutynowany reporter wojenny na świecie podjął próbę przeniknięcia do zbrojnego podziemia, aby sfilmować je z bliska. Talibowie (pogranicze afgańsko-pakistańskie) z czasem zaczęli otwierać się przed przybyszem. Refsdal powoli zdobywał zaufanie bojowców, pozwalał im oswoić się z kamerą, opadały maski zimnokrwistych zabójców. Film, który udało mu się nakręcić, daje pierwszą i być może jedyną okazję przyjrzenia się funkcjonowaniu



Ewa Frączek  
**Podstuchiwałam**

wyklętych wojowników świętej wojny. Unikalne zdjęcia ukazują talibów naradzających się przed kolejnym zbrojnym rajdem, z troską pielęgnujących broń, ale także rozluźnionych, nawet żartujących ze sobą. „Przyjechał przedstawić nas jako tych złych” - śmieje się jeden z nich wskazując na Norwega.

Czy świat ze snu podmiotu lirycznego wiersza jest niemożliwy? Czy to tylko senna wizja, poetycki kaprys skonstruowany dla zaskoczenia czytelnika?

*znowu poddałam się  
natychmiast.*

Dlaczego znowu? Czy poddanie się, uległość to wejście w rolę kobiety Wschodu? Może raczej niemożność rozpoznania sytuacji, odróżnienia oczekiwań i faktów, prawdy rzeczywistej i medialnej, racji stron konfliktu?

Przedstawiłam próbę mojego odczytania jednego liryku z tomu „Podstuchiwałam” Ewy Frączek. Małeńki, ale starannie wydany tomik zawiera trzydzieści dwa wiersze uzupełnione

grafikami Oli Ołubiec. Wiersze z wyraźnym kobiecym rytmem wyrażanym wprost, ale także w warstwie wrażliwości, stylu i metaforyki z pewnością warto przeczytać. Współczesność szara, bolesna, drapieżna, niezrozumiała tworzy paletę tematów, które autorka podejmuje w kolejnych lirykach, zaskakując ujęciem sprawy, piękną metaforą, poetyckim skrótem.

Na koniec, jako rodzaj usprawiedliwienia, przywołam teorię paradoksu w poezji. Obejmuje ona czytelnika, któremu tekst pozostawia możliwość wielu interpretacji. Ta właśnie cecha przekazu mową wiązaną pasjonuje mnie najbardziej, ponieważ chyba nie bez racji zakładam, że byłam, jako czytelnik, w planie artystycznym twórcy.

Możliwe jest również kpiarskie, przewrotne odczytanie wiersza przez „rewelację o talibach w Klewkach.” Wydaje mi się jednak, że byłoby to zbyt proste, by nie powiedzieć prostackie.

**Czesława Długoszek, Objazda**

*Ewa Frączek: Podstuchiwałam, Bramasole, Rzeszów 2011.*



## *czarownica od ziół*

*Po tragicznej śmierci syna Irena Stelmachowa postarzała się jeszcze bardziej. Z dnia na dzień od ludzi się oddalała, na powitania nie reagowała, przez co ten czy ów miał do niej o to pretensje*

Historię tę opowiedziała mi Janina Chechelska, mieszkanka jednej z pomorskich wsi: - Kiedy Irenę Stelmachową dosięgła emerytura, zdawała się być wrakiem człowieka. Miała synka Januszka, którego ojcem był Władek kuternoga, pijus i rębajło, do bójk niezgorszy. Gdy w „tygodniówkę” szedł, wtedy zazwyczaj wyrzucano go z pracy. Potem ona u dyrektora oczami za niego świeciła. Aż któregoś lata pijanego Władka przejechał kombajn, gdy pijany w zbożu leżał. Oj, nie o taką radę Irena Matkę Boską prosiła, tylko aby opamiętanie zechciała zesać jej Władkowi. Bo to bez chłopa na wsi bieda, a tu zima za pasem, drewnutnie trzeba napełnić, obejście naprawić, przeto i chłop nawet najgorszy, ale swoje miejsce na wsi znajdzie. Sromota po chłopie zniknęła chyba jeszcze szybciej niżeli te siniaki, którymi znaczył jej całe ciało, jak tatuażami. Synek dorastał w przedszkolu, pił krowie mleko i jadł pszenne bułki, a jej się wydawało, że to już tak zawsze będą ją budzić głodne krowy w oborze. Jednego roku nauczyciel Zaremba przekonał ją, że „trzeba Jasia pchnąć do szkół w mieście, bo umysł ma wybitny”. Tylko, jakim sposobem ona, wdowa na tę edukację ma wysuptać pieniądze, to najwidoczniej była sprawa mniejszej wagi. A ona żyły sobie wypruwała, kiedy Januszek w internacie słoiki z wałówką za papierosy kolegom sprzedawał. Kiedy trafił na studia i zaliczał właśnie drugi rok, to przecież Zaremba nie mógł tego wiedzieć, że jego protegowany zamienia właśnie swój umysł na członkostwo w jednej z najbardziej brutalnych grup przestępczych w kraju. Był zdolny inaczej, młody i pewny siebie, jeden z tych „młodych wilków”, co to sądzą, że im się wszystko od życia należy. Bez względu na koszty i płacz matek. Januszek nie uczestniczył w zbieraniu haraczy, ani też w napadach z bronią w rękę. Nie brał również udziału w egzekucjach i nie asystował przy kopaniu dołów w lasach. Januszek był przestępcą w białym kofnierzyku, w garniturze od podrabianego Armaniego i w butach spod warszawskiej firmy z napisem Giorgio. Janusz Stelmach został księgowym mafii i to on wprowadzał do obrotu nieuczciwie zdobyte przez nią pieniądze. Nie uchroniło to go jednak od kuli konkurencyjnej grupy z Wołomina.



Tam również znalazł się ktoś taki, podobnie myślący i równie przebiegłe kalkulujący.

Po tragicznej śmierci syna Irena Stelmachowa postarzała się jeszcze bardziej. Z dnia na dzień od ludzi się oddalała,



na powitania nie reagowała, przez co ten czy ów miał do niej o to pretensje. Januszek był dla niej całym światem, innego świata przecież nie znała: pegeer, dom, obrządek zwierząt, wyczekiwanie na pijanego męża - i tak zawsze, dzień za dniem. W jakiś czas potem Irena wybrała się na łąki i zbierała zioła, potem jedne w moździerzu rozgniatała, a jeszcze inne zalewała wodą ze strumienia daleko za wioską. W ten sposób powstawały jej pierwsze mikstury. A że w owym czasie już całkiem zdziwaczała i z wioską była skłócona, to zaczęła je na sobie wypróbować. Zieloną maść na twarz przed snem nakładała, a włosy płukała w wywarze z pokrzyw z dodatkiem innych ziół. Po pewnym czasie nawet najbardziej nierozgarnięte baby we wsi dostrzegły, że Irenie zmarszczki zniknęły, cera nabrała właściwego koloru, a włosy pobłyskiwały naturalnie. Odzyskała kobieta swą dawną postawę i przestała szurać butami. Zaczęły baby jej nagłej urody zazdrościć i dzisiaj nikt już nie pamięta, kto pierwszy nazwał ją wtedy - czarownicą. Sołtys Maciaszczyk, chłop rezolutny na początku brał ją w obronę: „Czyście ludziska powariowali, toć mamy dwudziesty wiek i nijakich czarów w tym być nie może, tylko właściwości lecznicze ziół wszelakich”. Ale on



również skapitulował pod naporem babskiego lobby. Tylko na chwilę o Irenie zrobiło się we wsi cicho, gdy na obrzmiałe nogi księdza maść specjalną sporządziła i wkrótce potem rany i opuchlizna zniknęły. Ksiądz w kazaniu ujął się za nią, ganiąc „ciemnogród” we wsi rozpowszechniony. Ale sama zainteresowana zniknęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Wyjechała, czy jaki inny czort - nikt tego nie wiedział. Zastanawiali się ludziska, czy to przez te zielarskie czary i czy z tego przypadkiem jakiegoś większego nieszczęścia nie będzie dla wioski. W kilka dni potem chałupa Stelmacha z dymem poszła, a czego nie strawił ogień, wyrzucono do stawu za wsią, który powszechnie nazywano „gnojownikiem”. Nikt niczego innego, jak tylko kary Bożej się w tym nie doszukiwał. Chociaż ten czy ów doskonale wiedział, kto benzynę przytaszczył, kto pierwszy zapalkę zapalił i kto potem to wszystko zebrał i wyrzucił. Kilka lat miejsce po chałupie Stelmacha stało puste, aż wreszcie znalazł się kupiec z miasta i przeznaczył je na chlewnię. Lecz, ilekroć podejmował się chowu warchlaków, kolejne stado wymierało w niewyjaśnionych okolicznościach. Po kilku takich próbach zwinął interes i tyle było go widać. Zabudowania pozostały, ale przecież nawet dziecko we wsi wiedziało, że zdychające stada wieprzków to sprawka Stelmachowej z zaświatów. Lecz, jak twierdził posterunkowy Czereśniak: „Należy mimo wszystko ufać nowoczesnym metodom śledczym, a te wyraźnie mówią, że dopóki nie ma ciała, to nie może być sprawy. Choć pewnie nic nie znajdą i tak w końcu umorzą ją z urzędu, a samą Stelmachową, chcąc nie chcąc, uzna się za zaginioną.”

Wiejska społeczność wiedziała jednak swoje. Minęło pięć lat. Pierwszy Irenę Stelmachową w telewizorze rozpoznał głupi Antek Mrówca i wioskę obiegił z wypiekami na twarzy: „Czarownica żyje, czarownica żyje, jak bum cyk,

cyk. Na własne oczy zem widział”. Kryśka Smugałowa mało trupem nie padła, kiedy na małym ekranie swojego telewizora zobaczyła o kilkanaście lat młodszą Stelmachową. Znała ją przecież najlepiej, tylko potem, jak wieś się na nią uwzięła, to ona też się jej zaparła. Dawna Irena Stelmachowa była autorytetem w dziedzinie kosmetologii i po okresie nieobecności w kraju, przyjechała z cyklem wykładów o zastosowaniu ziół w kosmetyce i lecznictwie niekonwencjonalnym, czego, co stanowczo podkreślała, nauczyła się w małej wiosce na Mazowszu.

Kryśka Smugałowa mało co zrozumiała z wywiadu, ale wiedziała jedno: „że jakaś cholera w tym musi być”. Spojrzała na swoje odbicie w lustrze i na zgrubiałe od roboty dłonie. Potem po kazaniu w kościele chwycił ją jakiś ogromny żal, kiedy ksiądz z ambony wykrzyczał: „nie sądzicie, abyście sami nie byli sądzeni”.

Założyła Kryśka wełniany pulower, wzięła kosz na grzyby i poszła na łąki zbierać zioła. Wkrótce za nią poszły też inne baby z wioski, choć nie od razu i jakby tylko od niechcenia. Śmiało można powiedzieć, że oto czary wypełniły się, bo dzięki dawnej Stelmachowej już wkrótce wieś zyskała miano największego

w kraju ośrodka zbieractwa ziół. Sprzedawano je potem do Herbapolu, czym ratowano mizerne w tym czasie budżety domowe. Niektóre baby utrzymywały nawet, że nauczyły się wyrabiać odmładzające maseczki na twarz i tak się w tym wyspecjalizowały, że zamiast marchewki, pietruszki czy innych warzyw, od tej pory na targu sprzedawały mikstury na każdą chorobę i niejedną zmarszczkę. Same również stosowały je na sobie, z tą jednak różnicą, że nikt ich wówczas o czary już nie posądzał.

Po emisji wywiadu ze znaną panią kosmetolog, tam gdzie kiedyś stała chałupa Ireny Stelmachowej, zatrzymał się samochód z zagraniczną rejestracją. Nikt z niego nie wysiadł, tylko przez uchyloną szybę można było usłyszeć kobiecy płacz. Potem samochód zawrócił i odjechał z impetem, zostawiając za sobą brunatną zawieszinę kurzu; jakby miał on przykryć wszystko grubą warstwą.

\*\*\*

Pani Janina Chochelewska, która historię tę mi opowiedziała, przyjechała na Pomorze za mężem. Osiedlili się w małej wiosce niedaleko Słupska, mąż zatrudnił się jako traktorzysta w pegeerze, a po jego upadku podjął pracę w Fabryce Maszyn Rolniczych. Ona zaś, póki jeszcze istniało przyzakładowe przedszkole, pracowała w kuchni, potem kilkanaście lat w Fabryce Obuwia, jako szwaczka. Przyznaje, że do dzisiaj zbiera zioła i wyrabia z nich nalewki i maści na każdą dolegliwość. Stanowczo podkreśla, że na jej zbieractwo ziół wcale nie miał wpływu przykład tamtej kobiety. Lecz to, że obecnie nazbyt powszechnie stosuje się antybiotyki, całkowicie zapominając o medycynie ludowej, która funkcjonowała niemalże od zawsze, a tak często bywa marginalizowana.

**Spisał: Czesław Kowalczyk, Słupsk**

# yeti

Historię tę usłyszałem na dworcu PKŚ w Nowym Sączu. Mężczyzna, który mi ją opowiadał, liczył sobie siedemdziesiąt sześć lat i to jemu poświęcam ten literacki opis

życiu pojawiła się Katarzyna, szło mu całkiem nieźle. Jak na człowieka radzieckiego był ewenementem, ponieważ stronił od alkoholu, co w wiosce, która od lat przodo-

wała w powiatowym rankingu wypijanego bimbrow, było nie do pomyślenia. W pracy go poklepywano, gratulowano mu dobrej roboty, ale na uroczystości rodzinne nikt go nie zapraszał, z wyjątkiem Dygasa. To wszystko sprawiło, że zamykał się w sobie i stronił od ludzi. A szkoda, bo był człowiekiem towarzyskim i pogodnym, kawałami z rękawa sypał, a gdy śmiał się, to jego wielkie brzuszko wpadało w przedziwną turbulencję.

Żył zatem Iwan jakby z ludźmi, ale jednak osobno. Po

Ściemniało się już i mrok kładł się czarną peleryną na dachy chałup, kiedy drogą człapało yeti. Było ogromne, wło-chate od baraniego kozucha z kapeluszem na głowie i wyda-wało z siebie dziwne pomruki. Kiedy zbliżyło się do osady, to w skąpym oświetleniu można było wyodrębnić głowę, ręce i nogi. Twarz natomiast pokrytą miała czarnym kilkuletnim zarostem i nie bardzo było wiadomo czy to człowiek, czy jakiś stwór przechadza się poboczem jezdnii.

O jego pojawie-niu się we wsi mówiono różnie: jedni utrzymywali, że jest to wędrowny dziad i łązi tak od wsi do wsi. Inni, ci bardziej politycznie uświa-domieni mówili, że to uciekinier niby z tych łągrów za wschodnią granicą, tylko że jak do tej pory, nikt żadnych uciekinierów we wsi nie widział. Yeti na pierw-szy rzut oka sprawiało wrażenie oswojonego.

Iwan Siergiejewicz Chałatowy przyszedł do wioski w porze żniw, jak jakieś zrządzenie losu, bo to każda para rąk była wówczas potrzebna. Sołtys Dygas, kom-unista z przekonania nazwał pojawienie się Rosjani-na „zacieśnianiem przyjaźni radziecko-polskiej”. Na po-czątku lat siedemdziesiątych, kiedy zaczyna się ta historia, nie upominał się o niego kraj rodzinny, ambasada, ani też nikt z rodziny. Z tego, co uda-ło się ustalić Dygasowi, jednych człon-ków jego rodziny strawiła bitwa pod Stalingradem, innych straszliwy głód na Ukrainie, a ojca Wołodię i brata Saszę - Głasnosti. Lecz nawet Dygas zachodził w głowę, dlaczego to niby Głasnosti miały-by zabić jego najbliższych? Toteż, niezale-żnie od niego, ową Głasnosti pozostali skwapliwie zakwalifikowali do innych matactw pod czerwoną gwiazdą. Tylko sołtys znał dobrze język rosyjski, pozostali ledwie dukali, to i on całą wiedzę o Iwanie posiadał, długo z nim rozmawiał i wypytywał o różne sprawy, a wkrótce potem nagle zmarł, zabierając życiorys Iwana do grobu.

Całkiem przypadkowo okazało się, że Iwan jest dobrym mechanikiem, kiedy stary traktor uruchomił, co to go POM na złom przeznaczył. Do pracy przyjęto go chętnie i nawet przyznano mu mieszkanie służbowe nieopodal zakładu. Co prawda małe, stare i śmierdzące stęchlizną, ale dla Iwana to i tak był pałac. Początkowo mówił niewiele, a jeśli już, to dia-lektem wynikłym z pomieszania języka rosyjskiego (co niejako było naturalne), ukraińskiego, polskiego i niemieckiego. Język polski przyswajał z trudnością, choć później, kiedy w jego

żniwach zjechały do wioski kobiety na sadzenie lasu. Wy-patrzył Iwan Katarzynę, kobietę rośłą i piękną. Spodobali się sobie. Na początku, jakby od niechcienia, były rozmowy przy traktorze. Potem, gdy po skończonej pracy kobiety wychodziły na wieś do sklepu lub tylko na spacer, on był tuż za nią, aż kiedyś ujął jej różową dłoń i zaprowadził nad staw, nad który wszyscy chodzili, gdy mieli dziewczynom coś ważnego do powiedzenia.

I powiedział jej wtedy Iwan najlepszą polszczyzną, jakiej zdołał się dotąd nauczyć... że Katarzynę polubił od pierw-szego spotkania i czy, jeśli już robota przy sadzeniu lasu się skończy, ona we wsi pozostanie. Bo on chętnie by się z nią ożenił i chciałby mieć z nią dzieci. Kobieta roześmiała się i odpowiedziała mu również szczerze, że właściwie to o



pozostaniu w wiosce jeszcze nie myślała, ale propozycja ta jej się spodobała. Do rodzinnej wioski nie ma po co wracać, bo w niej rządzi już nowa żona ojca. Powiedziała, że Iwan jej się podoba, to i dzieci z ich związku będą na pewno ładne, i w ogóle to ona propozycję pójścia za Iwana, przyjmuje. Na koniec pocałowała go.

Wkrótce potem Iwan przy pomocy kierownika Romana Walusiaka formalności załatwił. Do ambasady wystąpił o jakieś dokumenty i o zgodę na ślub do samego papieża napisał, chociaż ksiądz Patkowski i bez tych formalności ślubu by im udzielił. Ślub miał się odbyć w październiku. Tymczasem Iwan lodówkę do mieszkania kupił, tapczan, dywan, stół z krzesłami i zapisał się w sklepie Geesu na telewizor i pralkę „Wiatkę”. Którejś niedzieli po nabożeństwie poczekał na Katarzynę pod kościołem, potem wniósł ją do mieszkania na rękach

i bukiet czerwonych róż jej wręczył. A widząc jej zakłopotanie powiedział: „Ja ciebie, jak żonę do swego domu zaprosiłem, dlatego żoną mi pozostań na zawsze”. Rozpłakała się wtedy Katarzyna, bo były to jej pierwsze róże w życiu. Kobieta już do baru nie wróciła. Niedługo potem sadzenie lasu się skończyło i kobiety wyjechały.

Zaczął się Iwan golić i myć, obszarpany kombinezon,

który dotąd zastępował mu całodzienną okrycie, zamienił na czarny sweter, jasną koszulę i spodnie w kancik. Zmienił się nie do poznania i kobiety zaczęły Katarzynie zazdrościć. Poczuli się Iwan szczęśliwym człowiekiem, chyba pierwszy raz w swoim podłym życiu. Polubił na

nowo słowa piosenki o szczęściu, co to „trzeba go rwać, jak młode wiśnie”. Lecz nie wiedział wówczas, że szczęście owo bywa bardzo kapryśne i nie zawsze każdemu jest ono dane. Tak oto pewnego pogodnego dnia, gdy słońce zbierało się już do odpoczynku, powiał nieprzychylny wiatr i ten domek z kart rozpadł się Iwanowi na cztery strony świata. Wiadomość o Katarzynie dotarła do Iwana na końcu. Dopiero komendant posterunku MO, niejaki Zenek Karbowski przywitał go załamującym się głosem. Iwan upadł na kolana i płakał, potem jakby zebrał się w sobie, otarł łzy i pognął w kierunku lasu. Lecz tam zobaczył ją już z daleka, niesioną na noszach do karetki, bezwładną niczym zastygłą lawę, która zagarnęła jakiś maleńki, tylko jemu znany skrawek łądy. Katarzynę zabiło drzewo, które ściął Genek Bryndecki. Odbiło się o piąk i

przekoziółkowało. Katarzyna była najbliższej wyrębu. Nikt do Genka pretensji o to nie miał, ale on krótko po tym wydarzeniu powiesił się niedaleko szosy. Zrobił to w takim miejscu, w którym wszyscy to zobaczyli. Bo napisane jest przecież: „oko za oko i ząb za ząb”. Proces trwał kilka miesięcy, powoływano nowych świadków i rzeczoznawców, ale nikt nie poniósł kary za brak odpowiedniego nadzoru przy wyrębie lasu. Iwana nie było przy ogłoszeniu wyroku, tylko kierownik Walusiak powiedział chłopom, że „zdarzenie to zakwalifikowano jako nieszczęśliwy wypadek”.

Iwan żył obok, nie umiał przyjmować szczerych słów współczucia, coś w nim wypaliło się na zawsze. Raz jeden tylko przemówił, kiedy trumnę z ciałem Katarzyny przywieziono do kościoła. Nie było wtedy we wsi człowieka, żeby mu się chociaż jedna łza w oku nie zakręciła. Na wiadomość o zabraniu trumny z ciałem Katarzyny w Iwana złość nagła wstąpiła i objął trumnę dużymi, jak bochny chleba dłońmi, rozpłakał się, a potem wykrzyczał w twarz przerażonemu ojcu zmarłej: „Ona już stąd, a wam nic do jej ciała, byliśmy po słowie i żyliśmy, jak mąż z żoną”.

Po tych słowach zagroził swoją sylwetką wejście do kruchty, zaciskając pięści. Karbowski, widząc co się dzieje, odciągnął na stronę księdza i ojca Katarzyny. Tym bardziej, że przed kościołem tłum zaczął już wrzeć i wygrażać to księdzu, to Karbowskiemu, to ojcu Katarzyny. Ojciec Katarzyny najwidoczniej posłuchał się swojej młodszej o kilkanaście lat żony i rad, nie rad odstąpił od zabrania trumny i nawet chętnie zgodził się na pochówek. Katarzynę pochowano na wiejskim cmentarzu w południe następnego dnia. Pogrzeb miała piękny, i choć to był już czas wykopek, to przyszła cała wioska. To się nie zdarzyło już nigdy potem. Czy było w tym wypadku jakieś zrzęcenie losu, czy sprawiła to ręka Boża, tego nikt nie wiedział i nie roztrząsał? Takie rzeczy zdarzają się wszędzie. Wydawało się, że po pewnym czasie ludzie we wsi przywykną, ale oni ilekroć patrzyli Iwanowi w twarz, to smutek taki w nich wzbierał, że przejść obok niego obojętnie nie umieli. Iwan znów przywdział stary kombinezon i go nie zdejmował, włosy i brodę zapuścił, i mył się tylko wtedy, kiedy ubranie na nim sztywniało. Nie było dnia, żeby na cmentarzu nie przesiadywał do późnej nocy. Dbał o grób Katarzyny, przynosił zawsze świeże kwiaty, plewił wokół nagrobka wścibską trawę, zimą odśnieżał, choć wiatr na nowo nagał zasy. Z jednym tylko Iwan nie umiał sobie poradzić, czego na pewno nie pochwaliby Katarzyna, na nowo zaczął pić i pił coraz więcej, nawet w pracy. Może to nawet takie dziwne by nie było, bo traktorzyści nieraz „szli w „tango”, ale on upijał się „na smutno”, czego doświadczył ten czy ów i ściany warsztatu, bo poobijane były od latających w powietrzu kluczy i części maszyn. Wpadał w złość tak ogromną, że wszyscy we wsi schodzili mu z drogi i przezornie drzwi chałup na klucz zamykali. Po zmroku, gdy wracał z cmentarza, nikt rozsądny go nie zaczepiał, bo wtedy złość wzbierała w nim najbardziej.

I chociaż tym swoim pijaństwem dawno już palnę pierwszeństwa we wsi objął, to jakoś z tego faktu nikt nie był zadowolony. Aż zdarzyło się tak, że podczas śnieżnej zamieci, na wracającego z cmentarza poboczem jezdni Iwana, najeżdżała ciężarówka z kłocami drewna. Kiedy go później spod kół wyciągnięto, to twarz miał pogodną, jakby całkowicie pogodzoną z losem, a w kącikach jego warg, zastygł uśmiech. Tak zginęło i odeszło na zawsze ze wsi yeti o imieniu Iwan, którego wszyscy się bali, stronili od niego, częściej mu jednak współczuli, bo o miłości Iwana i Katarzyny po dziś dzień w Nowosądeckim krążą legendy. A nowożeńcy na ich wspólnej mogile składają wiązanki kwiatów.

**Czesław Kowalczyk, Słupsk**

# już jej nie spotkam



*Jak grom z jasnego nieba spadła na mnie wiadomość o śmierci Wandy Majewicz-Kulon. Zatelefonowała do mnie zapłakana i roztrzęsiona tą wiadomością Ania Karwowska*



Ja też nie mogłam się z tym pogodzić. Jeszcze nie pozierałam się do kupy po osobistych wydarzeniach rodzinnych, a tu nowy przykry cios. Długo walczyłam z sobą, by choć kilka słów napisać o Niej. Myśli i długopis odmawiały posłuszeństwa.

Wanda nigdy na nic się nie skarżyła, że coś jej dokuca. Zawsze pogodna, uśmiechnięta, życzliwa i szczodra. Coś w zanadru zawsze miała jak przyjeżdżała na spotkania, by poczęstować. Ostatnio zaskoczyła mnie bardzo miłym gestem - podarowała mi korale. Nie chciałam przyjąć takiego prezentu - bo z jakiej racji. Czym ci się odwdzięczę? Wańdziu - mówiłam. Ona tylko zmarszczyła brwi i powiedziała: masz i noś. Ten podarunek będzie mi ją zawsze przypominał.

Dla mnie osobiście grupa wiejskich poetów (nie)profesjonalnych jest jak bliska rodzina. Każde spotkanie to radosne

przeżycie, odskocznia od codziennych kłopotów. Zawsze wracałam do domu naładowana pozytywną energią, szczęśliwa, że mogłam się spotkać, zamienić kilka słów.

Grupa z Bytowa ma w sobie jakiś pozytywny magnez, który przyciąga. Tak jest przynajmniej w moim przypadku. Kto teraz zastąpi Wandę?

Zawsze bardzo się cieszyłam, że spotykam znajome twarze. Tę radość po raz kolejny zmąciło niespodziewane odejście. Bóg zabrał w czasie mojego pobytu w tej grupie dobrze mi znane już osoby: poetów i muzyków - Teresę Opakę, Janka Wanago, Józia Kurzydło, Klemensa Rudowskiego i Wandzię Majewicz-Kulon. Ja ciągle będę powracać do nich pamięcią (także modlitwą) - dopóki mnie ona nie zawiedzie. Zdaję sobie sprawę z tego, że do tej mety wszyscy zdążamy, ale nie sposób wyzbyć się żalu po stracie.

*Eugenia Ananiewicz, Słupsk*

POŻEGNANIE

## DLA WANDZI

*Jak mogłaś opuścić  
naszą grupę poetów  
znieścacka, bez pozwolenia  
nie zdradzając sekretu*

*Trójka z Bytowa  
jak przyjeżdżała  
Wanda naprzeciw  
przy stole siadała*

*Bez foch i kaprysów  
życzliwa pogodna  
przy powitaniach  
coś miała w dłoniach*

*Ilekróć je zakładam  
lecą bzy żalu  
jak krople deszczu  
a bzy nie kłamią*

*Umiałaś się solidnie  
zakamuflować  
ja nie umiem przyczyny  
tej rozszyfrować*

*Zawsze uśmiechem  
miłym witała  
puszczała oczka  
i żartowała*

*Mnie zawsze czymś  
obdarowała  
paraduję w jej koralach  
tak jak chciała*

*Bez zmian na niebie  
mrużąc gwiazdy  
uparcie w nich szukam  
śladu bliskiej Wandy*

Piotr Mańka, Warcino (1950 - 2014)

## POWOŁANIE

*Pierwszy raz trawa samosiejka  
Na cały ugór, stojąc w ziele  
Szustnęła ku mnie, zwodzicielka:  
- nauczycielu!*

*I do mnie każde dzikie ziolo  
Wołało - głód tak tylko wołać może,  
Nienasycony od lat wielu  
- nauczycielu!  
- Profesorze!*

*I zaraz cały świat ugoru  
Od pszonki do dzikiego chmielu  
Po dwakroć wionął na kształt chóru:  
- nauczycielu!  
- nauczycielu!*

*Sam byłem chwastem. Jakże mało  
Widziałem na ubogim łanie!  
Lecz będę uczył. Tak powstało  
Moje NAUCZYCIELSKIE  
POWOŁANIE*

*Ileż to lat jak ugór wołał,  
Ten chwaścik, szczawik, żabi kluczyk:  
I my chcemy się uczyć:  
- uczyć!*

